POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 3-go maja 1941r.** **Rok III. Nr. 18**

Czego oczekuje żołnierz polski od Polonii Amerykańskiej

Gdy po krwawej, nierównej walce wrześniowej 1939 roku żołnierz polski musiał opuścić ojczyznę, gdy później przez długie miesiące z ciągłym narażeniem życia, często z nadludzkim wysiłkiem, uchodząc z niewoli lub przed niewolą przekradał się za wraże kordony, ażeby dalej bić się za Polskę, otuchą było dlań, że nie będzie sam. Że w oczekującej go, długiej zbrojnej wędrówce do wyzwolonego kraju staną obok niego tysiące nowych towarzyszy broni, tysiące rodaków z pośród Polonii zagranicznej.

Liczyliśmy zwłaszcza na dwa wielkie skupienia Polaków za granicami kraju. Jedno wielkie skupienie w Europie, we Francji. Drugie większe dziesięciokrotnie—w Ameryce.

Francuskie skupienie, blisko półmilionowe stało się podstawą do utworzenia nowego wojska polskiego. Mimo dużych przeszkód, stawianych przez sprzymierzony rząd francuski, który potrzebował polskiej siły roboczej dla kopalń i przemysłu wojennego i większość zdatnych do boju rodaków naszych zatrzymywał po kopalniach i fabrykach, do sześćdziesięciu tysięcy nowych żołnierzy stanęło do szeregów, stapiając się ze starymi żołnierzami i młodym ochotnikiem, napływającym z Polski, z Węgier, z Rumunii, w nowe, tęgie wojsko. Sformowaliśmy cztery dywizje piechoty, brygadę strzelców, dywizję pancerno-motorową. Dojrzewała pod dowództwem naczelnym generała Sikorskiego, dowódcy zwycięskiej V armii z roku 1920, silna armia, ożywiona wspaniałym duchem. Lwia część tej armii mimo niesprzyjających warunków wyszkolenia zdążyła wziąć udział w kampaniach norweskiej i francuskiej i, wedle słów starej piosenki, poniosła w obce strony chwałę polskiej broni.

Ze względu na wspomniane trudności dalszy rozwój zmartwychwstałego wojska polskiego był niemożliwy. Na próżno wydzierali się do niego nasi górnicy we Francji, dzielni, patriotyczni, ofiarni. Emigracja pracująca z Belgii dała, co mogła. Z innych krajów Europy przybyć mogły tylko garstki ludzi. Przychodziła już kolej na ostatnią, najpotężniejszą rezerwę walczącego narodu: na Polaków amerykańskich. Ku nim zwracały się już we Francji oczy nasze z oczekiwaniem i z nadzieją.

Przyszła klęska wojenna Francji. Choć wielokrotnie potężniejsza od Polski żywą siłą zmobilizowanych wojsk, orężem i sprzętem wojennym, złamana została w walce równie szybko. Od razu padły w ręce wroga obszary, na których skupione było polskie wychodźstwo pracownicze. Źródła żywej siły zostały nam odjęte. Walczące dywizje i brygady polskie w toku działań wojennych odcięte zostały od południa Francji. Z chwilą kapitulacji tego sojusznika przed Niemcami w gruzach walącego się gmachu pogrzebana została zmartwychwstała armia polska.

Ale wola niezłomna Wodza Naczelnego i Rządu, energia wielu dowódców, męstwo i ofiarność żołnierzy oraz nieoceniona pomoc brytyjska pozwoliły nam uratować z katastrofy część jej wielką i wycofać ją do Wielkiej Brytanii, ażeby podjąć raz jeszcze pracę nad wskrzeszeniem wojska narodowego. Ocalono całe lotnictwo. Marynarka nasza walczyła od początku u boku brytyjskiej. Polska pozostała jedną z sił walczących za sprawę chrześcijaństwa, wolności i sprawiedliwości. W owej chwili—aż do wystąpienia bohaterskich Greków—siłą najpoważniejszą po Wielkiej Brytanii.



rysował Tadeusz Lipski

Słowa: " Święta sprawa Ojczyzny Was wzywa " pochodzą z telegramu wysłanego przez I. J. Paderewskiego z Bordeaux dnia 22 września 1914 do Polonii Amerykańskiej w sprawie tworzenia Armii Polskiej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Obok naszej wspaniałej marynarki i lotnictwa, które taką okryło się niebawem chwałą, wojsko nasze lądowe na gościnnej ziemi szkockiej stało się piękną reprezentacją naszego niezłomnego narodu. Złożone w ogromnej części ze starego żołnierza, zaprawionego już w bojach, w całości doskonale wyszkolone, z wielkim nadmiarem tęgich dowódców, oficerów i podoficerów, ożywione duchem krzyżowców, duchem poświęcenia i pragnieniem walki, stanowi ono podobnie jak marynarka i lotnictwo nasze, taki zespół ludzki, wśród którego służyć jest dla każdego od szeregowca do generała zaszczytem i szczęściem jedynym, jakiego zaznać może Polak, gdy Ojczyzna w takiej niedoli.

Ale nie o to przecież idzie by godnie reprezentować na tułactwie imię polskie. Idzie o to, by stać się siłą potężną, zdolną kraj wyzwolić.

Gdy Bóg da dotrzeć do Polski, wojsko nasze wzrośnie od razu w setki tysięcy ludzi, a ci żołnierze polscy, którzy są dziś w Wielkiej Brytanii stworzą w jednej chwili ramy dla armii liczniejszej o wiele, niż ta, która była we Francji. Ale na to trzeba jeszcze, by zanim wojna przerzuci się na kontynent, wojsko nasze stało się taranem, zdolnym utorować sobie drogę do Ojczyzny. Musi ono rozrosnąć w siłę, o dziesiątki tysięcy mężnych ludzi. I to jest rzecz główna. Bo uzbrojenie potężne zapewnią wielkie potęgi, z którymi związaliśmy naszą przyszłość: Imperium Brytyjskie i Stany Zjednoczone.

Przyszłość naszego wojska, przyszłość Polski zależy w tej chwili od Polaków amerykańskich. Odkąd tu znalazł się żołnierz polski, przedmiotem ciągłych rozmów pod namiotami czy na kwaterach, czy w schronach nadmorskich była ta sprawa: czy przyjdzie do nas nowy żołnierz polski z Ameryki? Czy dostaniemy stamtąd ochotników? Kiedy? Przez długie miesiące żołnierz polski oczekuje rodaków z za Oceanu, jak zbawienia.

Każdy żołnierz pojmuje, czym to jest dla wojska i dla zwycięstwa naszej sprawy. Każdy tęskni do tej siły świeżej, a potężnej, którą Polonia amerykańska zdolna jest wyłonić.

Mówią żołnierze: gdy przed ćwiercią wieku toczyła się wojna i zaczynała się tworzyć armia polska, Polacy z Ameryki stanęli dziesiątkami tysięcy na wezwanie Ignacego Paderewskiego. Znowu jest wśród nich Paderewski. Przecież następne pokolenie Polaków amerykańskich nie będzie głuche na głos największego i najszlachetniejszego z Polaków.

Mówią żołnierze: Polacy amerykańscy okazali, że są bitni, ochoczy do boju, dowiedli tego nieraz. Szli dziesiątkami tysięcy do armii Stanów Zjednoczonych na wojnę z Hiszpanami. Za wojny światowej poszli licznie do wojska polskiego, ale dziesięć razy tyle stanęło w szeregach amerykańskich. A teraz Stany Zjednoczone nie są przecież w wojnie, choć pomagają dobrej sprawie. Gdzież może znaleść młody Polak z Ameryki miejsce dla siebie w tej wielkiej walce o wolność, jak nie w szeregach Polski walczącej, w szeregach wojska starej Ojczyzny?

Mówią żołnierze: Jest ich pięć milionów bez mała. Niech choć co setny zdecyduje się pójść, a już naprawione będą straty, któreśmy ponieśli przez katastrofę Francji. Niech pójdzie co pięćdziesiąty, a będziemy mieć armię potężniejszą od tej, którą tworzyliśmy wtedy. Niech pójdzie co dwudziesty, a stajemy się wielką siłą i przyczynić się będziemy mogli decydująco do zwycięstwa.

Mówią żołnierze: Nasi Rodacy amerykańscy mają dwie ojczyzny. Jedna to nasza, wspólna, znowu krwawiąca okrutnie, udręczona przez wrogów. Druga, ta ich nowa, to wielka, potężna Ameryka. Rozumiemy, że kochają Amerykę, że chcą być najlepszymi jej obywatelami. Ale teraz stara Ojczyzna jest w śmiertelnej potrzebie. A nowa choć po drugiej stronie Oceanu, jest po naszej stronie w walce. Jasne już teraz dla każdego, że bijąc się za Polskę, bić się będą za Amerykę, za jej bezpieczeństwo i wielkość. Jeśli pójdą teraz w bój, naród amerykański nie tylko nie może ich potępić, ale będzie w nich widział swych bohaterskich, choć samorzutnych przedstawicieli, uszanuje ich, a wracających po wojnie powita jako tych, co byli pierwsi w boju o wspólną wielką sprawę. Polska zaś tego im nie zapomni, że dla niej za broń chwycili. Nie dopuścimy, my żołnierze, by zapomniała.

Mówią żołnierze: Żeby tylko przyszli prędko! Jeśli przyjdą teraz, to będą w porę, by wziąć udział wraz z nami w rozstrzygającym okresie wojny. Przecież trzeba czasu na przysposobienie się do walki. Za parę miesięcy staną się w naszych szeregach tęgimi żołnierzami. Nauczymy ich w lot wszystkiego, co umiemy sami. A jak zacznie się ofensywa na lądzie, wspólnymi siłami Polaków ze starej Ojczyzny i z nowego kraju dokażemy tyle, że Niemcy zadrżą. Ale jak nasi będą zwlekać, jak za rok przyjdą, to będzie może za późno. Wojna będzie już rozstrzygnięta. Jeden ochotnik teraz wart tyle, co dziesięciu za rok.

Tak mówią żołnierze, stojący dziś na straży odcinka Wielkiej Brytanii, gotowi przyjąć godnie niemieckich najeźdźców. Ale wpatrują się w morze, dzielące ich od kontynentu Europy, od wybrzeży będących w ręku wroga i myślą, że kiedyś muszą " dla Ojczyzny ratowania wracać się przez morze " i że trzeba przebyć to morze silną armią, liczniejszą niż ta, która stoi tu dzisiaj—a zasiloną masą rodaków amerykańskich. Na nich czekają gorące, wierne serca braci żołnierskiej.

Marian Kukiel

" Wiem, bo znam Wasze serca, że Polska w największej będąca potrzebie otrzyma od Was każdą niezbędną pomoc, jakiej Wy, wolni obywatele ziemi Waszyngtona, w ramach obowiązujących Was praw, będziecie mogli udzielić.

Rodacy z Ameryki, Polskę odbudujemy siłą naszej myśli i ramion. Od nas, od pracy wszystkich Polaków na świecie zależy przyszła wielkość Polski i jej siła."

(Z przemówienia Prezydenta R. P. Władysława Raczkiewicza do Polaków w Ameryce, dnia 15 października 1940.)

Za trzy tygodnie od daty wyjścia tego numeru " Polski Walczącej," dnia 24 i 25 maja, odbędzie się w Washingtonie D.C. Zjazd Rady Polonii Amerykańskiej.

Korzystamy z tej okazii uroczystej i doniosłej w życiu zbiorowym Polaków w Ameryce, aby przez ocean wzburzony wiosną i bezwzględną wojną przesłać Im żołnierskie pozdrowienia, aby sobie samym i Im—Synom jednej, okrutnie doświadczonej i niezłomnie walczącej ziemi—uświadomić wagę myśli, które z sobą wymienią, postanowień, które w tych dniach powezmą.

Nie wolno nam wpływać na te postanowienia. Wolno nam jednak powiedzieć, że my, żołnierze Armii Polskiej, patrzymy w stronę Ameryki, w stronę ojczyzny Washingtona, Wilsona i Roosevelta, w stronę drugiej ojczyzny Pułaskiego, Kościuszki, Paderewskiego i wielu milionów Polaków—z najgorętszą nadzieją, która wzmaga naszą wolę walki i umacnia naszę wiarę w zwycięstwo.

Paderewski—duchowy wódz Polonii

Ofiarowywując Narodowi Polskiemi w 500-letnią rocznicę zwycięstwa pod Grunwaldem królewski zaiste dar w postaci pomnika, który stanął w Krakowie —Ignacy Paderewski dowiódł, iż jest nie tylko wielkim artystą, który imię polskie rozsławił po świecie, jak bodaj nikt dotąd przed nim, ale że posiada równocześnie genialne wprost wyczucie nadchodzącej chwili dziejowej i tych idei przewodnich, które winny podczas niej Polsce przyświecać.

Uroczystość odsłonięcia pomnika w lipcu 1910 r. była wielkim wydarzeniem w życiu ówczesnej Polski. Do starej stolicy Piastów, która w okresie niewoli stała się duchową stolicą całej rozdartej Polski, pośpieszyły delegacje nie tylko z wszystkich ziem dawnej Rzeczypospolitej, ale z każdego prawie zakątka, gdzie znalazło przytułek większe grono rozproszonych po świecie rzesz emigrantów polskich. Te liczne rzesze manifestowały głośno zarówno w obliczu zaborców, jak i wobec świata całego, iż mimo rozdarcia i niewoli Naród Polski jest jeden i nierozdzielny, że żyje pełnią swej wielkiej przeszłości oraz niewzruszoną nadzieją doczekania się dnia, w którym odzyska utraconą przed 115 laty wolność.

Przeżywaliśmy wówczas przedwiośnie wojny światowej, wojny, o którą modlił się Adam Mickiewicz, której na próżno oczekiwały trzy porozbiorowe pokolenia patriotów. Jakże potężnie i proroczo zarazem zajaśniał na tym tle ten symbol i drogowskaz, który dał swemu narodowi wielki patriota, stawiając przed jego oczy pomnik zwycięstwa pod Grunwaldem. Dar Paderewskiego przypominał narodowi kto był największym, śmiertelnym wrogiem samego jego istnienia i przez zwycięstwo nad kim przede wszystkim Polska może odzyskać niepodległość.

Gdy w cztery lata później wybuchła wojna i przez chwilę zdawać się mogło, że społeczeństwo polskie rozdarte zostanie nie dającymi się pogodzić "orientacjami," wówczas dopiero okazało się jak silnie i głęboko zapadł w dusze i umysły polskie siew ideowy rocznicy Grunwaldu. Przeświadczenie, że na prawdę wolna i zjednoczona Polska powstać może tylko w wypadku nowego pogromu potomków Krzyżaków stało się z miejsca wiarą najszerszych mas Narodu Polskiego. Ogarnęło ono z czasem i te koła, które początkowo w imię rzekomego realizmu politycznego gotowe były szukać urzeczywistnienia ideału niepodległości państwowej w skali na początek mniejszej, odkładając realizację ideału zjednoczenia do dalszego etapu.

Na tym właśnie polega wielkość zasługi narodowej Ignacego Paderewskiego, że wyczuł on znakomicie tę jedyną, jeśli wolno użyć tego wyrażenia: orientację, przy której skupić się mogą na prawdę Polacy i na jej usługi oddał swe wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju, stosunki w świecie oraz niestrudzoną i ofiarną swą pracę, której głównym terenem stały się Stany Zjednoczone Ameryki Północnej.

Wybuch wojny zastał Paderewskiego w Szwajcarii. Prawdziwy, w wielkim stylu realista polityczny, o ileż przewyższający pod tym względem wielu zawodowych a głośnych polityków, wolny mimo swego zdecydowanie antyniemieckiego stanowiska od wszelkiego rusofilizmu, trzeźwo zaraz po jej wybuchu ocenił, że jak długo Rosja, która wchodziła w skład koalicji, nie ujawni swej słabości, tak długo brak realnych szans na to, aby Sprawa Polska mogła liczyć na zrozumienie w związanych z Rosją ścisłym sojuszem państwach zachodnich. To nam tłumaczy, dlaczego w pierwszym roku wojny Paderewski politycznie prawie że nie jest czynny, oddając się cały na usługi akcji dobroczynnej w powołanym wspólnie z Henrykiem Sienkiewiczem i wielkim "jałmużnikiem Polski" Antonim Osuchowskim—"Generalnym Komitecie Pomocy dla Ofiar Wojny w Polsce."

Wiosna i lata 1915 roku przynoszą pierwsze poważne przesunięcia sił w obozie koalicji antyniemieckiej. Ujawnia się przewidywana przez Paderewskiego słabość Rosji. W wyniku klęsk musi ona opuścić Królestwo Polskie i znaczną część t.zw. ziem zabranych oraz gros okupowanych z początkiem wojny terenów Galicji. Dla Paderewskiego otwierają się wreszcie warunki akcji politycznej. Zdaje on sobie sprawę, że wskutek słabości Rosji wojna znacznie się przedłuży. Z wielkim realizmem ocenia granice odporności i nasilenia militarnego Francji i Wielkiej Brytanii. Z niezwykłą wprost intuicją polityczną wyczuwa, że o losach wojny zadecyduje postawa, a może i czynny w niej udział Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. I dlatego opuszcza Szwajcarię i po krótkim pobycie w Paryżu i Londynie wyjeżdża do Ameryki.

Z górą trzyletnia działalność Paderewskiego w Stanach Zjednoczonych, najpierw czysto osobista, następnie zaś po powstaniu Komitetu Narodowego, któremu przewodniczy Roman Dmowski, w charakterze przedstawiciela tegoż Komitetu, którego był zresztą członkiem—to najciekawszy bodaj i niewątpliwie rozstrzygający rozdział historii wysiłków politycznych na rzecz Sprawy Polski po stronie zwycięskiej koalicji. Szkoda wielka, że rozdział ten jest na ogół opinii polskiej tak mało znany, taką poniekąd drugoplanową rolę odgrywa on w tych nielicznych wydawnictwach, które wysiłkom tym poświęcono.

Trudno tym bardziej dzisiaj przy zupełnym braku jakichkolwiek materiałów dać pełniejszy jej obraz. Z konieczności trzeba ograniczyć się do najbardziej sumarycznego zestawienia.

Położenie w Stanach Zjednoczonych, w chwili gdy Paderewski rozpoczynał działalność przypominało w dużym stopniu stan rzeczy z roku ubiegłego. Zbliżał się termin nowych wyborów prezydenckich i tym razem w grę wchodziła sprawa drugiej kadencji prezydenta Wilsona. Opozycja republikańska z popularnym swym kandydatem Hughes'em zyskiwała na wpływach i ponowny wybór Wilsona był poważnie zagrożony. Jak w roku ubiegłym tak i wówczas przy wyborach z 6 listopada 1916 roku wszelkiego rodzaju izolacjoniści i przyjaciele Niemiec byli za kandydaturą republikańską. Paderewski i przygniatająca większość Polonii amerykańskiej, zjednoczona przy jego osobie, z naczelną swą organizacją polityczną Wydziałem Narodowym Polskim—wiązali wszystkie nadzieje ze zwycięstwem kandydata demokratycznego, z ponownym wyborem Wilsona.

Podjęta na wielką skalę przez Paderewskiego akcja propagandowa przy pomocy koncertów, które gromadziły we wszystkich stanach tysiące wpływowych Amerykanów, a których częścią składową było przemówienie Mistrza na temat Polski—oddała również i sprawie ponownego wyboru Wilsona niepomierne usługi. Stwierdzoną jest zresztą rzeczą, że o reelekcji tej zdecydowała ostatecznie czteromilionowa Polonia amerykańska. Szanse między Wilsonem a Hughes'em były niemal równe. W dniu wyborów pierwsze wyniki zapowiadały zwycięstwo republikańskie. O wyborze Wilsona zadecydowały stany, w których szalę na jego korzyść przeważyli wyborcy pochodzenia polskiego i to tacy, którzy w poprzednich wyborach stale dochowywali wierności partii republikańskiej.

Wysoka pozycja, jaką w Stanach Zjednoczonych posiadał Paderewski, znany tam dobrze już z czasów pierwszej swej kampanii artystycznej w 1891 r., ułatwiła mu bardzo nawiązanie bliższych stosunków z wybitnymi przywódcami partii demokratycznej. Pozyskał wśród nich wielu serdecznych przyjaciół, w tym najbliższego, najbardziej jemu, a przez niego Sprawie Polskiej oddanego płk. House'a, powiernika i doradcy prezydenta Wilsona. Za pośrednictwem House'a doszło do zbliżenia z Wilsonem, zbliżenia, z którego zrodził się decydujący wpływ, jakie odnośnie spraw polskich uzyskał u Prezydenta Paderewski.

W początkach 1917 r. Paderewski opracowywuje na prośbę House'a dla Wilsona memoriał o Sprawie Polskiej. Wpływ tego memoriału uwydatnia się wkrótce w treści głośnego orędzia prez. Wilsona z 22 stycznia 1917 r. , w którym Prezydent Stanów Zjednoczonych po raz pierwszy wśród warunków sprawiedliwego pokoju, o który toczy się wojna, stawia żądanie naprawienia krzywdy dziejowej wyrządzonej Polsce . . .

Kilka miesięcy później Stany Zjednoczone oficjalnie wchodzą do wojny. Gdy zaś niemal w rocznicę pierwszego swego orędzia Wilson formułuje cele wojny tak, jak je rozumie kierowana przezeń wielka demokracja amerykańska, widnieje już wśród historycznych 14-tu punktów—punkt 13-ty o odbudowie zjednoczonego, i niepodległego Państwa Polskiego z własnym dostępem do morza. . . .

Trzynasty punkt orędzia wilsonowskiego to historyczny dorobek amerykańskiej misji Paderewskiego. Nie ograniczał się on jednak tylko do akcji dyplomatycznej. Myślał o wszystkim, co zbliżało nas realnie do upragnionego celu. Objąwszy przy pomocy grona najwybitniejszych patriotów kierownictwo Polonii amerykańskiej, pokierował tak celowo jej pracami, dla prowadzenia których Polonia dała z siebie niezwykłe wprost dowody ofiarności, aby udział Polaków amerykańskich w zakładaniu zrębów odrodzonego Państwa Polskiego był jak najbardziej realny i konkretny.

Był więc przy organizacji szkoły oficerskiej dla Polaków w Cambridge Springers. Po wyjściu dekretu upoważniającego do stworzenia armii polskiej we Francji, uzyskał w listopadzie 1917 r. od rządu amerykańskiego zezwolenie na rekrutację ochotników. Od rządu kanadyjskiego potrafił jednocześnie uzyskać zgodę na założenie wielkiego obozu wojskowego w Niagara, w którym odbyło przeszkolenie z górą 22 tysiące ochotników polskich.

Listopad 1918 r. przynosił uwieńczenie wysiłków Paderewskiego. W wyniku klęski Niemiec niepodległe Państwo Polskie staje się rzeczywistością. Ale otwarta jest jeszcze sprawa jego granic. Najcięższe boje o nie dopiero wypadnie stoczyć. Pomocnymi mu wielce w nich będą te przyjaźnie, które Paderewski usilną pracą dla Polski podczas trzyletniego pobytu w Ameryce pozyskał. W początkach grudnia opuszcza Nowy Jork i po krótkim pobycie w Paryżu i Londynie decyduje się na wyjazd do Kraju.

Trasa tego powrotu to znowu cały program! Ileż wymowy, ile głębokiego sensu politycznego ma tutaj każde posunięcie. Władze angielskie proponują Paderewskiemu przejazd do Polski najkrótszą drogą przez Niemcy. Ten plan mu nie odpowiada. Jego dążeniem jest wrócić do Polski przez morze, wylądować w polskim porcie: Gdańsku i pierwszą kwaterę rozbić w stolicy kolebki Państwa Polskiego: w Poznaniu. . . .

Dzięki poparciu wielkiego swego przyjaciela, ówczesnego ministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii Balfour'a, śmiałą tę myśl udaje się Paderewskiemu zrealizować. Z możliwym tą drogą pobudzeniem wiąże się wielki czyn powstania Wielkopolskiego. . .

Jesienią 1940 roku po katastrofie Francji, kiedy zdawało się, że drugie wieko trumny zawaliło się nad Polską, kończący 80 lat Paderewski wyrusza znowu starym swym szlakiem do Ameryki. Nie dane mu już jest być tam tak czynnym jak przed 25-ciu laty. Chce jednak rzucić swój wielki autorytet moralny, jakim się cieszy zarówno w społeczeństwie amerykańskim i u wielkiego następcy Wilsona, jak i wśród tamtejszych Polaków, na szalę walki o tę Polskę, w którą nigdy nie wątpił i której zawsze, całe życie ofiarnie służył.

Karol Popiel

Latem roku 1918

Chętnie czynię zadość życzeniu Redakcji "Polski Walczącej," by skreślić garść wspomnień z pierwszej wojny światowej, odnoszących się do ówczesnego politycznego i wojskowego udziału Polonii amerykańskiej w wysiłku polskim po stronie koalicji przeciwniemieckiej. Nie mogąc sobie jednak z powodu zajęć swych pozwolić na wywody obszerniejsze, obrazujące choćby w przybliżeniu całokształt tego udziału, ograniczę się do jednego fragmentu, który w przeżyciach mych bezpośrednich zaznaczył się szczególnie silnie i zaważył niewątpliwie na rozwoju wypadków.

Jak wiadomo, uznanym przez rządy sprzymierzone oficjalnym przedstawicielstwem Polski był Komitet Narodowy Polski z siedzibą w Paryżu. Siłę moralną i polityczną czerpał on ze stałego kontaktu z krajem i jego zrzeszeniami międzypartyjnymi o orientacji prokoalicyjnej we wszystkich dzielnicach. Piszącemu te słowa przypadało w udziale utrzymywanie za pomocą tajnych emisariuszów związku, który mimo wszelkich utrudnień wojennych przerwy nie doznał ani na chwilę i koordynował ściśle polski wysiłek polityczny i wojskowy na terenie państw sprzymierzonych z działalnością kraju.

Komitet Narodowy Polski uważał również za swój obowiązek oparcie się o zorganizowaną Polonię amerykańską raz ze względu na jej siłę liczebną, szacowaną w Stanach Zjednoczonych na około cztery miliony dusz, a powtóre ze względu na wagę tego czynnika w życiu Stanów, idących—jak obecnie—ku co raz większej i co raz bardziej wpływowej roli w zapasach dziejowych. Paderewski, który miał w Ameryce niezwykłą wręcz pozycję moralną nie tylko w szerszych kołach społeczeństwa tamtejszego, ale również w sferach jego decydujących, włącznie do samego prezydenta Wilsona, a Polonii amerykańskiej przewodził jako wódz ideowy—był członkiem Komitetu Narodowego Polskiego i jego reprezentantem wobec prezydenta i rządu Stanów Zjednoczonych. Wydział Narodowy Polski z siedzibą w Chicago, łączący w sobie sterników wielkich organizacyj związkowych o stanowisku przeciwniemieckim, uznawał zwierzchnictwo Komitetu Narodowego Polskiego w Paryżu i uchwalił z nim ściśle współpracować na rzecz zjednoczenia i niepodległości Polski.

Ale były wśród Polaków w Ameryce elementy, które usiłowały tę współpracę sparaliżować, szerząc fałszywe wiadomości o działaniu Komitetu Narodowego Polskiego. Wobec tego Komitet postanowił, bym udał się do Stanów Zjednoczonych celem omówienia całokształtu spraw politycznych i wojskowych z Paderewskim i zreferowania ich szczegółowo Wydziałowi Narodowemu Polskiemu.

Wyjazd mój z Francji przypadł na punkt kulminacyjny ówczesnej militarnej przewagi niemieckiej: wojska Rzeszy zbliżały się po raz wtóry nad Marną ku Paryżowi. Nie wiedziałem, czy, gdzie i kiedy ujrzę z powrotem kolegów z Komitetu Narodowego Polskiego. Gdy byłem na morzu, odczuło się już z wiadomości iskrowych, że jakoś się ofensywa niemiecka zahamowuje, a gdy lądowałem w porcie nowojorskim, nadeszły pierwsze informacje o zagrożeniu armii niemieckiej uderzeniem wojsk francuskich w jej flankę wysuniętą. Mimo czterech lat, bardzo ciężkich dla oręża sprzymierzonych, wierzyłem zawsze w zwycięstwo jego ostateczne, ale tam w porcie nowojorskim, gdy się patrzało na setki olbrzymich statków wojennych i handlowych wszystkich narodów, znajdujących się w wojnie z Niemcami, tym bardziej zaś następnie, gdy się na własne oczy widziało potęgę produkcji amerykańskiej, stała się dla mnie jak gdyby realnie uchwytną prawda, że strona, po której stoją Stany Zjednoczone, pokonana być nie może, że musi ona odnieść zwycięstwo.

Rzecz inna, że polityczny stan sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych był wówczas jeszcze bardzo mało pocieszający: zaraz na wstępie w Nowym Jorku dowiedziałem się od jednego z Polaków, wchodzących w skład komisji, która na zlecenie urzędu spraw zagranicznych opracowywała potrzebne dla niego dane na poparcie projektu zachodniej granicy przyszłego państwa polskiego, że komisja ta otrzymała zlecenie pozostawienia ziem zaboru pruskiego poza linią graniczną. W Waszyngtonie wierzono wówczas jeszcze niemieckim źródłom "naukowym," a nawet argumentom propagandy niemieckiej w sprawie naszych ziem zachodnich. Trzeba było zwycięstwa koalicji na placu boju oraz zaważenia w umysłowości amerykańskiej ogromnego polskiego wysiłku politycznego, by zrozumiano prawdę rzeczywistą i spojrzano w głąb zagadnienia.

Ówczesny—było to lato roku 1918—stan myśli politycznej sfer amerykańskich w sprawie polskiej stanowił tło godzinnych rozważań z Paderewskim, z którym, nim się udałem do Chicago, do Polonii amerykańskiej, przedyskutowałem wszystkie kwestie programowe i któremu przedstawiłem całokształt działalności Komitetu Narodowego Polskiego, udzielając wielkiemu patriocie wszelkich wyjaśnień i informacji.

Niezatarte w umyśle mym zostało wspomnienie kilkudniowych następnie obrad Wydziału Narodowego Polskiego, przed którym referowałem wszystkie sprawy bez obsłonek, otwarcie, szczerze, rozdzielając należycie światła i cienie, nie zatajając żadnej trudności, zwracając wyraźnie uwagę na wszelkie niebezpieczeństwa.

Zespół zgromadzonych działaczy pochłaniał wręcz wszystkie wiadomości, oświetlenia i myśli przewodnie, wsłuchując się szczególnie w program rewindykacyj naszych terytorialnych oraz w objaśnienie sprawy organizacji armii polskiej we Francji. Instynkt mówił im i przed tym, że zagadnienie polskie jako takie i kwestia armii polskiej były postawione dobrze, ale teraz ujrzeli wszystkich spraw kształty konkretne, mieli dowody, że Komitet Narodowy Polski walczył o Polskę wielką na zachodzie i wschodzie, że nie pozwolił—jak były ku temu z pewnych stron tendencje—zepchnąć problemu wojska polskiego na poziom legionu, lecz przeprowadził z twardym uporem postulat armii samodzielnej z całą pełnią praw narodowych, pod polską władzą polityczną Komitetu Narodowego oraz pod polskim naczelnym dowództwem, które Komitet powierzył wkrótce generałowi Hallerowi.

Dyskusja członków Wydziału Narodowego nad referatem utrzymana była na wysokim, obywatelskim poziomie, wykazując gorący patriotyzm i szczerą troskę przywódców Polonii amerykańskiej o sprawę polską. Z obrad tych wyrosła spójnia myśli i działania, której już żadne wpływy postronne osłabić nie zdołały i która ustaliła mocną podstawę ochotniczego czynu Polaków tamtejszych na rzecz armii polskiej we Francji.

Przekonanie me o patriotyzmie rodaków naszych mimo wrośnięcia ich w nowe, amerykańskie warunki i stosunki potwierdziło się jeszcze, gdy się zbliżyłem do poszczególnych wielkich polskich organizacyj związkowych w ich siedzibach chicagowskich.

Wracałem do Europy, do Paryża z uczuciem pewności, że wysiłek narodu polskiego po stronie koalicji przeciwniemieckiej jest jednolity, zwarty i niezłomny, że Polacy zarówno w kraju, jak na obczyźnie dalekiej ożywieni są jedną myślą, jednym dążeniem, jednym zrozumieniem sytuacji i że na tej podwalinie granitowej będziemy mogli z powodzeniem prowadzić dalszą pracę i upartą walkę o Polskę zjednoczoną i niepodległą zarówno w toku jeszcze wojny, jak następnie na konferencji pokojowej.

W wyniku rozmów mych z Paderewskim w Nowym Yorku i obrad w Wydziale Narodowym w Chicago poszły dwie depesze iskrowe do Dmowskiego zapraszające go do Stanów Zjednoczonych, czemu uczynił on też zadość i co ukoronowało związanie Polonii amerykańskiej z akcją Komitetu Narodowego Polskiego. Jak w Waszyngtonie zaważyła na szali działalność Dmowskiego i Paderewskiego, to utrwalone zostało w dziełach, jakie pojawiły się na temat polskiego wysiłku w pierwszej wojnie światowej.

Marian Seyda

Polonia Amerykańska a Wojsko Polskie na obczyźnie

Niewiele narodów wykazuje dla swego wojska tyle uczucia, czułości, co Naród Polski. Czułości, nie czułostkowości.

Może dlatego, że tyle wobec tego wojska popełnił grzechów w okresie przedrozbiorowym, może dlatego, że półtora wieku własnego wojska nie miał, że tak długo musiał tęsknić do służby pod własnymi sztandarami. Ale przede wszystkim dlatego, że rozumiał, iż to wojsko jest jedynie możliwą obroną z takim trudem i z takim szczęściem wywalczonej wolności i niepodległości.

Ten sentyment miała dla wojska nie tylko ludność polska w kraju. Mieli go również Polacy z zagranicy. Gdy w roku 1934 odbywał się II Zjazd Polaków z Zagranicy, może najbardziej przejmującym momentem zarówno samego Zjazdu, jak i towarzyszących mu uroczystości była wielka rewia wojskowa na polu Mokotowskim. Trzeba było widzieć delegatów na Zjazd, trzeba było widzieć uczestników licznych wycieczek polskich z Ameryki, z jakim wzruszeniem i radością przypatrywali się maszerującym oddziałom, z jaką dumą stwierdzali, że Polska ma obok tradycyjnych broni: piechoty, kawalerii i artylerii także oddziały zmotoryzowane, czołgi i samoloty. W przekroju tej defilady wydawało się, że ma ich stosunkowo dużo. Okazało się potym, że miała ich o wiele, o wiele za mało. . . .

Ale zarówno ta rewia, jak i publikowane później w prasie polskiej artykuły, jak wreszcie ogólne przekonanie polskiego społeczeństwa, że ma wojsko nie tylko dobre, ale i należycie wyposażone, wszystko to razem spowodowało, że Polonia Amerykańska, śledząca żywo krytyczny dla Polski okres wiosny—lata 1939 r., oczekiwała nadchodzącego starcia z ufnością. A gdy z kraju padło hasło, że należy uzupełniać istniejące jeszcze braki, że—póki czas—należy się dozbrajać, gdy zainaugurowano wielką zbiórkę na FON, zbiórka ta, przeprowadzana nie tylko w kraju, lecz i za granicą, dała—jak na krótki okres czasu, w ciągu którego była prowadzona—wcale pokaźne wyniki. W miesiącach marzec—sierpień 1939 r. Polonia Amerykańska przekazała na FON ogółem około 800.000 dolarów. Wiadomość o wybuchu wojny wzmogła jeszcze tę ofiarność i doprowadziła ją do szczytu napięcia w pierwszych dniach września.

A potym zaczęły przychodzić wiadomości, napełniające Polonię lękiem i zgrozą. Armia Polska, dotychczas przedmiot dumy i zachwytu, kruszyła się dzień po dniu pod straszliwymi uderzeniami potężnej maszyny wojennej Niemiec. Ofiarność na Wojsko Polskie traciła rację bytu. Stało się jasne, że zbierane ofiary i dary już nie zdążą do tego wojska dotrzeć. Ofiarność zostaje skierowana na inną drogę, na drogę, na której pozostaje dotychczas: na pomoc Krajowi, jeńcom i uchodźcom.

Miesiąc październik 1939 r. przynosi nową zmianę nastrojów. Do Ameryki dochodzą wiadomości o objęciu godności Prezydenta Rzeczypospolitej przez p. Władysława Raczkiewicza, o powstaniu nowego Rządu Jedności i Obrony Narodowej pod kierownictwem Generała Sikorskiego, o formowaniu się na nowo Armii Polskiej we Francji. Kilku najgorętszych młodych Polaków z Ameryki przybywa na własną rękę i na własny koszt na kontynent, by zaciągnąć się do jej szeregów.

Są to jednak wypadki odosobnione. Ogół Polonii czeka. Czekają nawet ci, którzy uważają, że miejsce ich jest w szeregach tej Armii. Czekają, bo rozumieją, że problem zasilenia tych szeregów młodzieżą polską z Ameryki nie może być sprawą jednostkowych postanowień, że, jeżeli ma dać jakiś poważniejszy efekt musi być skutkiem akcji zorganizowanej, że jej podjęcie na pewną skalę w warunkach ścisłej neutralności Stanów Zjednoczonych jest niemożliwe. Że wreszcie ogólna atmosfera i nastroje w Stanach muszą dojrzeć do momentu, w którym udział Ameryki w toczącej się walce stanie się czymś równie naturalnym, jak było dotychczas jej wstrzymywanie się od tego udziału.

To też sentyment Polonii Amerykańskiej dla Wojska Polskiego objawia się raczej w innej formie. Objawia się przede wszystkim jej zainteresowaniem sprawą tej armii. Prasa polska w Ameryce śledzi wszystkie kolejne etapy jej formowania się i zamieszcza liczne reportaże z życia Wojska Polskiego we Francji, liczne wiadomości o udziale polskich oddziałów w wyprawie na Narwik, o walkach polskich dywizji we Francji, o ciężkim okresie ewakuacji do Anglii, o wspaniałych wyczynach polskiego lotnictwa w walce nad Wielką Brytanią, o Polskiej Marynarce Wojennej, o przeorganizowaniu się i życiu codziennym polskich oddziałów wojskowych na terenie Szkocji. Wojsko Polskie na obczyźnie jest z pewnością najpopularniejszym tematem na łamach prasy polsko-amerykańskiej.

Ale do tego zainteresowania się sprawą wojska nie ogranicza się stosunek Polonii do niego. Przybiera on i bardziej czynną formę.

Jedną z tych form stanowiła akcja "matek chrzestnych," wszczęta przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy wkrótce po wznowieniu przezeń działalności w Paryżu. Rzucony apel wzbudził wzrastający z każdym miesiącem oddźwięk. Odpowiedziały nań wszystkie środowiska polskie za granicą, najsilniej jednak—zrozumiałe to ze względu na jej liczebność—Polonia Amerykańska. W ciągu tych kilku krótkich miesięcy, podczas których akcja ta była prowadzona, zgłosiło się z Ameryki około 2.500 matek chrzestnych.

A była to akcja Wojsku Polskiemu we Francji szczególnie potrzebna. Braki zarówno w odzieniu i wyekwipowaniu, jak nawet w wyżywieniu, zwłaszcza zaś w przedmiotach codziennego drobnego komfortu obozowego życia były szczególnie wielkie. W porozumieniu z władzami wojskowymi wychodzą okólniki, wskazujące, jakie przedmioty są żołnierzowi szczególnie potrzebne, czym najlepiej matki chrzestne mogą się przysłużyć swym chrześniakom.

Nie mniej ważna była strona moralna. Żołnierz zarówno w kraju, jak może jeszcze bardziej na obczyźnie potrzebuje oparcia o społeczeństwo, potrzebuje korespondencji z kimś, kto by się nim specjalnie interesował. Tej potrzebie odpowiada wypróbowana we wszystkich bodaj armiach czasu poprzedniej wojny instytucja matek chrzestnych. Normalnie matki chrzestne rekrutowały się ze znanego danemu żołnierzowi środowiska—z pośród krewnych i znajomych. Żołnierz polski na obczyźnie nie mógł mieć matek chrzestnych tego typu. Potrzebę korespondencji z bliskimi zaspakajała we Francji częściowo możność pisania do kraju poprzez kraje neutralne.

Ale ta bardzo utrudniona i nieregularna korespondencja, niemożliwa w dodatku dla pochodzących z terenu okupacji sowieckiej, nie wystarczała. To też, gdy gruchnęła po oddziałach wiadomość, że można się starać o "przydział" matek chrzestnych z terenów emigracyjnych, zgłoszenia zaczęły napływać setkami, a potym tysiącami. Niestety ze względów przesadnej bodaj ostrożności wojskowej władze francuskie zażądały przerwania tej akcji. Tolerowano jedynie już nawiązane kontakty, nowe przydziały matek chrzestnych zostały zakazane. Te jednak dawne kontakty nie były bynajmniej powierzchowne. Po załamaniu się Francji zaczęły od dawnych matek chrzestnych nadchodzić zapytania, co się też dzieje z ich "chrześniakami," a ci z nich, którzy bądź zostali internowani w Szwajcarii, bądź też dostali się do niewoli niemieckiej, pozostają nadal pod ich opieką, otrzymują od nich paczki, listy.

Na terenie Wielkiej Brytanii akcja matek chrzestnych nie została dotąd wznowiona, jakkolwiek istnieje nadzieja, że uda się już niebawem uzyskać zgodę właściwych władz na ponowne jej podjęcie w nieco zmienionej formie. Można być pewnym, że Polonia Amerykańska wykorzysta w takim razie tę możliwość w jeszcze szerszym niż poprzednio zakresie.

Natomiast inna forma pomocy materialnej, a zwłaszcza oparcia moralnego dla żołnierza polskiego przybrała większe, niż kiedykolwiek przedtem, rozmiary. Wobec zupełnego urwania się korespondencji z rodzinami w kraju przypomniało sobie wielu z naszych żołnierzy, że przecież mają jakichś krewnych w Ameryce. Niektórzy z tych krewnych wywędrowali na drugą półkulę tak dawno, że zupełnie zerwali łączność ze swymi rodzinami w Kraju. W pamięci tego lub innego z naszych żołnierzy zachowała się tylko dość mętna świadomość, że jakiś jego wujek lub ciotka wyjechała swego czasu z rodzinnej wsi czy miasta i prawdopodobnie żyje do dziś na wielkiej połaci kraju między Oceanem Atlantyckim a Spokojnym. Niektórzy przypomnieli sobie miasto lub okolicę, gdzie ta rodzina prawdopodobnie mieszka, inni nie są nawet pewni, czy wyemigrowała ona do Ameryki Północnej, czy Południowej.

I wkrótce już po przybyciu naszych oddziałów do Wielkiej Brytanii zaczęły do Światowego Związku nadchodzić listy, zapytujące, czy nie można by odszukać takiego czy innego adresu. Wykorzystując swe kontakty organizacyjne i współpracę prasy polskiej w Ameryce, wszczął Światowy Związek poszukiwania tych zagubionych na olbrzymich przestrzeniach Ameryki krewnych. Na szpaltach pism polskich w Ameryce zaczęły ukazywać się całe kolumny nazwisk poszukujących i poszukiwanych, a nazwiska te powtarzane były również przez polskie godziny radiowe. Dodać zresztą trzeba, że poszukującymi są zarówno żołnierze polscy, jak uchodźcy cywilni, zarówno z terenu Wielkiej Brytanii, jak i z innych krajów, poprzez które przelewają się fale polskiego uchodźstwa.

I wkrótce zaczęły nadchodzić odpowiedzi. Ale nie zawsze od tych, których poszukiwano. Jeżeli poszukujący wymienił miejscowość, skąd pochodzi, niejednokrotnie z najróżniejszych miast i osiedli amerykańskich nadchodzą listy od emigrantów, którzy kiedyś tę miejscowość opuścili, lub od ich dzieci. Nadchodzą listy, zapytujące danego żołnierza, czy nie odczuwa jakich braków, a nieraz—na wszelki przypadek—i przekazy pieniężne, nadchodzą prośby o odpowiedź, wyrazy serdecznego uczucia i dumy, że oto ich wieś czy miasteczko dostarczyło bojownika o wolność Polski i zwycięstwo demokracji. A wszędzie brzmi ta sama serdeczna nuta, świadcząca, jak bliską sercu tych dawnych, zapomnianych nieraz przez Polskę emigrantów jest i ta Polska i Jej Wojsko. Te stosunki należy pielęgnować, takich listów nie wolno pozostawiać bez odpowiedzi, bo ta bezpośrednia wymiana listów zdziałać może więcej dla sprawy mocnego związania Polonii z naszym wysiłkiem zbrojnym, niż dziesiątki artykułów propagandowych i manifestacyj.

Ale obok tych pojedyńczych aktów zainteresowania i pomocy ze strony wychodźstwa w Ameryce dla naszego żołnierza, śpieszyła mu Polonia z pomocą i poprzez swoje organizacje w sposób celowy i systematyczny. Dzięki staraniom i ofiarności Polonii Amerykańskiej Polski Czerwony Krzyż uzyskał 14 pełnych ambulansów dla wojska polskiego, dzięki jej ofiarności znaczna liczba jeńców polskich otrzymuje stałe przesyłki paczek żywnościowych i odzieży, korzystają też z jej pomocy nasi żołnierze internowani w Szwajcarii, dla których Rada Polonii Amerykańskiej przeznaczyła ostatnio poważną sumę celem zorganizowania dla nich rodzaju Uniwersytetu żołnierskiego.

Wreszcie ofiarność Polonii dla naszego żołnierza zaznaczyła się bardzo mocno w drodze tak zw. akcji gwiazdkowej zarówno w roku 1939, jak i w roku 1940. Jeśli nawet rezultaty tej akcji—dary w naturze i przekazy pieniężne—nie zawsze doszły na czas z powodu trudności komunikacyjnych, jeśli sporo dołączonych do paczek listów z życzeniami zaginęło po drodze, to jednak to wszystko, co dotarło do naszych żołnierskich obozów, było źródłem i radości i rozrzewnienia. W tych przeważnie bardzo prostych, nieraz nieco już skażoną polszczyzną napisanych listach, których całą garść drukowała "Polska Walcząca" mieści się całe morze uczucia naszego wychodźstwa do tego zbrojnego ramienia Polski, jakim było i jest Jej Wojsko.

Ten kapitał sentymentu, jakim wojsko polskie za Oceanem rozporządza, przedstawia dziś—w czasie odcięcia od Kraju—niemałą wartość. Nie tylko krzepi on naszych żołnierzy w ciężkich chwilach, przeżywanych w okresie, gdy szala wojny przechyla się to na jedną to na drugą stronę, ale stanowi on podłoże, z którego w odpowiedniej chwili wyrosnąć może i—daj Boże—wyrośnie nowy czyn zbrojny polskiego wychodźstwa za Oceanem dla oswobodzenia Polski od najazdu i wolności całego świata.

Bronisław Helczyński

POLONIA

Wielkie kataklizmy dziejowe godząc w podstawy istniejącego porządku rzeczy, naruszają zasady równowagi w myślach i uczuciach człowieka.

Pokojowy tryb życia stwarza warunki dla przewagi czynników materialnych w codziennej walce o prawa i byt osobisty.

Wojna z odwiecznym wrogiem budzi z żywiołową siłą poczucie wspólnego dobra narodu — z otchłani wspólnego nieszczęścia wyzwala męski entuzjazm dla Sprawy Ogółu z gotowością do osobistych ofiar i poświęceń.

W naszej polskiej rzeczywistości prawda ta raz jeszcze buchnęła potężnym płomieniem w pamiętnych dniach września 1939.

W dziejowej godzinie, gdy zabrzmiało wezwanie do walki z wrogiem, wyciągającym drapieżne—w stal zakute szpony po polską ziemię, jednym zgodnym zabiły rytmem polskie serca w kraju i na obczyźnie:

w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Toruniu, Lwowie, Wilnie i Katowicach, w miastach i wsiach od Bałtyku do Karpat, w Nowym Yorku, Chicago, Buffalo i Detroit, w Paryżu i Londynie, w Paranie i Buenos Aires, w Sydney i Charbinie.

Na całym świecie, w każdym domu, gdzie matka do snu kołysze dziecko z polską pieśnią na ustach, a ojciec synom w spuściznie przekazuje miłość polskiej ziemi—popłynęły przed tron Boży modły o zwycięstwo Dobrej Sprawy, a twarde spracowane dłonie wołały o miecz.

W jednym dniu, w jednej godzinie ten sam dreszcz zapału wstrząsnął zbiorową duszą trzydziestopięcio-milionowego narodu we wszystkich pięciu częściach świata.

Każdy poczuł i zrozumiał, że chcą mu wydrzeć z jego własnego serca największy, najdroższy skarb: Polskę.

W tej godzinie nastąpiło prawdziwe Zjednoczenie Narodu.

Pogłębiły je i scementowały:

—bohaterstwo i męczeństwo Warszawy, Westerplatte, Modlina, Gdyni, Helu i Kutna na tle godnej największej czci i dumy wspaniałej postawy Narodu i Żołnierza.

—epopea Armii Polskiej na Obczyźnie, stworzonej przez Generała Sikorskiego, znaczona szlakiem bojów brygady podhalańskiej gen. Szyszki-Bohusza w Norwegii, wyryta bagnetem I dywizji grenadierów gen. Ducha, oświetlona ogniem benzyny z butelek II dywizji strzelców gen. Prugar-Ketlinga, grzmiąca warkotem stalowych wozów "Czarnej Brygady" gen. Maczka, szumiąca łoskotem śmigieł polskich eskadr lotniczych zwycięskich w bezprzykładnej "Battle of Britain," *opromieniona chwałą czynów Polskiej Marynarki.*

Lała się strumieniami krew polska.

Przelewał ją zarówno żołnierz z Kraju, jak i emigrant—górnik z Francji i ochotnik z Ameryki.

Pod jednym sztandarem, dla jednej Sprawy. Dla Polski.

Ta jedność krwi i serc nie zawiedzie nigdy.

Umęczony lud polski na okupowanych przez wroga ziemiach Rzeczypospolitej,

—Prezydent R.P. i Rząd Polski w Londynie i Armia Polska na Obczyźnie,

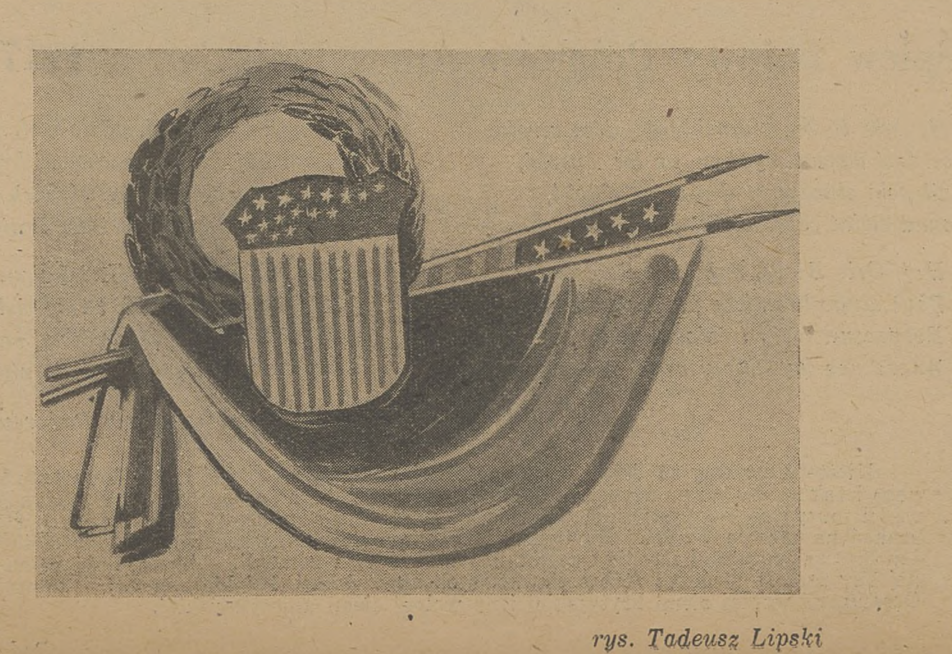
—Polacy rozsiani po całym świecie—stanowią nierozerwalną całość.

Na imię jej: Polonia.

Polonia, która dziś i jutro aż do dnia pełnego zwycięstwa będzie zawsze żyć i walczyć z pieśnią:

"Jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy."

Wacław Drzewiecki



rys. Tadeusz Lipski

O pierwszej armii polskiej w Ameryce

Rozmowa z generałem Józefem Hallerem

Niedawna to historia, kiedy w Armii gen. Hallera walczył żołnierz—Polak z Chicago i New Yorku, z Winnipegu i Kurytyby. W jakim stopniu czyn ten powtórzy się obecnie? To pytanie stawia sobie każdy Polak w Wielkiej Brytanii, a i Kraj niecierpliwie oczekuje na nie odpowiedzi. Gen. Haller, obecnie Minister Rządu Polskiego, dowódca Armii Polskiej we Francji, której częścią podstawową były oddziały Armii Polskiej z Ameryki, na prośbę "Polski Walczącej" udzielił swych wspomnień z tamtych czasów.

—Czy nie zechciałby Pan Generał naświetlić tamtego okresu, kiedy Polonia po raz pierwszy chwyciła za broń.

—Z chęcią. Spójrzmy jednak najpierw nieco bardziej wstecz, w historię Polonii na początku bieżącego wieku. Przed wojną światową emigracja polska w Ameryce była emigracją młodą, niedawno wyrwaną z ziemi polskiej, zachowującą najżywszy związek z krajem. Polskie ruchy wolnościowe znajdowały w niej żywy oddźwięk. Myśl więc stworzenia z tych milionów wolnych Polaków amerykańskich Armii Polskiej, nurtowała wśród nich od wielu lat. Założone na jej terenie Sokolstwo Polskie miało podobnie jak i w Kraju cele nie tylko gimnastyczne, ale i walki czynnej. Organizacja ta wzięła sobie za patrona Tadeusza Kościuszkę—co wskazywało, że celem jej jest walka o Niepodległość. Już w roku 1914 Sokolstwo uruchamia pierwszy kurs wojskowy w Cambridge Springs. W roku 1915, po krótkiej wyprawie meksykańskiej Armii USA, Sokolstwo uznało, że nastąpił moment podjęcia akcji konkretnej. W ekspedycji meksykańskiej wzięło udział sporo Polaków-Sokołów, nabywając doświadczenia. Od tej chwili Sokolstwo już się "nie rozbroiło." Organizowano ćwiczenia wojskowe, publicznie przygotowując swych członków do rzemiosła żołnierskiego. Młodzież garnęła się licznie w szeregi sokole.

Sokolstwo prowadził w tym czasie jego obecny Prezes, wybitny Polak i wielki patriota, znakomity obywatel USA Dr. Teofil Starzyński. On to już w roku 1913, na uroczystościach 50-ciolecia Sokolstwa we Lwowie, dokąd przyjechał z Ameryki, omawiał ze mną, jako Związkowym Instruktorem Wojskowym, współpracę na wypadek wojny.

W roku 1915 Sokolstwo ogłosiło apel do społeczeństwa polsko-amerykańskiego oświadczając, że z bronią u nogi będzie czekało na chwilę wzięcia czynnego udziału w walce o Polskę. Dnia 4 kwietnia 1917 roku odbył się w Pittsburgu nadzwyczajny sejm sokolstwa. Na nim to największy z żyjących Polaków, Ignacy Paderewski, ogłosił apel o utworzenie stutysięcznej Armii Kościuszkowskiej, zagrzewając do tego dzieła całą Polonię. Dalszym etapem było utworzenie Wydziału Narodowego, na czele którego stali pp. Smulski i Żychliński, prezes Związku Narodowego Polskiego. Ostateczne hasło "Do Broni" pada na zjeździe Polonii w Chicago, 17 października 1917 r. Zaczynają wtedy działać oficerowie werbunkowi, zgłaszają się ochotnicy, których kieruje się do obozu w Niagara on the Lake. Szkoła Podchorążych w Cambridge Springs dostarczyła zespołu instruktorskiego. Obóz w Niagara on the Lake był obozem ćwiczebnym. Stąd przeszkolone oddziały, umundurowane zresztą niejednolicie, przewożone były do Bordeaux dla wcielenia do tworzącej się Armii Polskiej we Francji. Ogółem zrekrutowano w Ameryce około 27 tysięcy ochotników z USA i 260 z Kanady.

—Jak Pan Generał ocenia te rezultaty liczbowe?

—Wysiłku zbrojnego Polonii Amerykańskiej — mówi Gen. Haller—nie można rozpatrywać wyłącznie pod kątem jej udziału w Armii Polskiej. Około 200 tysięcy Polaków walczyło również za polską sprawę w szeregach armii USA. Są tacy, którzy ten udział oceniają jeszcze wyżej. O tak wielkim udziale Polaków w armii amerykańskiej zadecydowały względy natury rodzinnej, zaopatrzeniowe, a także, co muszę podkreślić, świadomość walki o jedną sprawę. Osobiście rezultat rekrutacji do armii polskiej oceniam dodatnio. Można go było osiągnąć przy nadzwyczaj sprzyjających okolicznościach. Wspomniałem Panu na wstępie o ekspedycji meksykańskiej. Wytworzyła ona wśród Polaków nastrój bojowy. Polaków w Ameryce owiewał wielki duch patriotyczny. Akcja przygotowawcza trwała bardzo długo, bo razem z rekrutacją dwa lata. Posiadaliśmy licznych oficerów rekrutacyjnych, dobry aparat propagandowy, sprężyście prowadzony i dobrze zorganizowany Wydział Narodowy. Parafie polskie miały w tym dziele szczególną zasługę. Wśród oficerów rekrutacyjnych było wielu księży.

—Jacy oficerowie wybijali się wówczas na czoło akcji przygotowawczej?

—Bardzo owocnie współdziałał w tworzeniu armii major Kozłowski, szef misji francusko-polskiej. Nie mówię oczywiście o takich jednostkach, jak Teofil Starzyński. Wielkie zasługi mieli: kapitan Wacław Gąsiorowski—Sclavus, znany powieściopisarz, późniejszy dyrektor Polskiego Kolegium Związkowego w Cambridge Springs, a dalej kapitan Wagner, porucznik Chodźko, porucznik Kleczkowski, wybitny propagandzista. Wszyscy oni niestrudzenie objeżdżali miejscowości zamieszkałe przez Polaków, propagując ideę armii polskiej. Jednym z pierwszych wychowanków szkoły wojskowej w Cambridge Springs był porucznik Sierociński, późniejszy instruktor w obozie. Oczywiście nie wymieniam, bo nie mogę wymienić, wszystkich nazwisk osób, które w dziele armii polskiej w Ameryce posiadają wielkie zasługi.

Muszę podkreślić, że mieliśmy wielkich przyjaciół wśród oficerów kanadyjskich, którzy przydzieleni byli do prac w armii polskiej w Ameryce. Kiedy byłem w Toronto w r. 1940, miałem możność widzenia się z profesorem uniwersytetu w Toronto, p. Le Pan, a także z innym profesorem tej uczelni, p. Young. Obaj swego czasu współpracowali z wojskiem polskim. Prof. Le Pan, jako pułkownik armii kanadyjskiej, był dowódcą obozu w Niagara on the Lake. Obaj złożyli mi zapewnienia, że w obecnej wojnie również ofiarowaliby swą służbę wojsku polskiemu w Kanadzie, jeśliby powstało.

—Jaki nastrój panował wówczas w szeregach wojska polskiego z Ameryki? Pan Generał miał możność obserwowania ochotnika w jego akcji we Francji i w Polsce?

—Kiedy Ameryka przystąpiła do wojny, Polacy lądowali w Europie jako ochotnicy do armii polskiej i amerykańskiej. Polacy przez Bordeaux i obóz w Bayonne kierowani byli do polskich obozów kadrowych, szkolnych i broni. Główny obóz kadrowy znajdował się w Sillé le Guilhaumme. Kiedy w r. 1918, 13 lipca przez Murmań i Anglię przybyłem do Francji, pierwszy pułk strzelców armii polskiej we Francji był już w akcji, pod pułk. Jasińskim. Drugi pułk, pod pułk. Bereckim, był w okresie organizacji. W obozach kadrowych posiadaliśmy kadry kawalerii, artylerii, inżynierii, służb sanitarnych, taborów i t.d. Pierwszy pułk krwawymi ofiarami wywalczył sobie zaszczytną kartę w historii wojennej, broniąc dzielnie pozycji pod Bois de la Racquette, niedaleko Reims. W walkach tych Polacy z Ameryki brali czynny udział.

—Panie Generale, czy wkład polski do armii USA należycie był wówczas oceniony?

—Niewątpliwie opłacił się Polsce sowicie. Prezydent Wilson kilkakrotnie publicznie podkreślał, że Polacy dali Stanom najliczniejszego ochotnika. Podkreślał, że Polacy byli pierwszymi, którzy zgłosili się do wojska. Stanowili oni duży procent rannych i zabitych amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego. Pierwszym żołnierzem armii USA, który poległ na froncie zachodnim, był Polak, Jan J. Czajka, pochodzący z Milwaukee. Jednym z pierwszych oficerów, który oddał swe życie był również Polak, por Chwałkowski. Społeczeństwo Stanów wiedziało o tym, dobrze wiedziało i o innych bohaterach Polakach. Przyczyniało się to do zrozumienia polskiej sprawy za Oceanem.

Duch więc Polaków był doskonały w obu armiach. Żołnierz polski z Ameryki w moich szeregach, któremu przyszło czekać na wyjazd do Kraju, niecierpliwił się, że tak długo trwa jego przymusowa bezczynność. Chciał się bić jak najszybciej, bić się o Polskę. To też nic dziwnego, że z prawdziwym rozgoryczeniem przyjął gwałtowną demobilizację w roku 1920, opartą na suchym paragrafie przepisów o wieku żołnierza.

Z siedmiu dywizji i jednej instrukcyjnej, które stanowiły moją Armię, liczącą w chwili przyjazdu do Polski 100.000 żołnierza, najwięcej Polaków z Ameryki, bo około 15.000 miała Dywizja I-sza, a dalej Dywizja II-ga i III-cia. I-sza Dywizja Strzelców mogła być śmiało nazwana Dywizją Polonii Amerykańskiej. Zdobyła ona, jako XIII Dywizja Armii Polskiej, Krzyż Virtuti Militari dla swego sztandaru. Stanowi to wielką chwałę dla Polonii Amerykańskiej, której synowie walczyli mężnie i bohatersko. Trudno teraz mi przytaczać przykłady wielkiego bohaterstwa żołnierzy polskich z Ameryki. Były one liczne i dowodziły wielkiej dzielności rodaków z za Oceanu. A trzeba pamiętać, że byli w moich szeregach Polacy, obywatele Stanów Zjednoczonych, którzy uczyli się dopiero w Armii języka i w niej nawracali do polskości.

—Panie Generale. Tak było dwadzieścia lat temu. Jak Pan Generał ocenia obecne nastroje wśród Polonii?

—Moim zdaniem sprawa ma się dzisiaj mimo wszystko dość podobnie jak w roku 1917, kiedy w kwietniu Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. Polonia jest zawsze patriotyczna, kocha Polskę, jak kocha i Stany Zjednoczone. Zapewne warunki są obecnie trudniejsze. Klęska Polski była straszliwym ciosem dla Polonii. Muszę przyznać, że Polacy Amerykańscy odpowiednio poinformowani o rzeczywistym stanie rzeczy w Polsce w czasie wojny i w czasie podwójnej okupacji, podnieśli się na duchu i rozgrzani miłością do Macierzy pośpieszyli jej w miarę możliwości z czynną pomocą. Klęska Francji pogłębiła jednak depresję, choć nie na długo. To są fakty, z którymi należy liczyć się poważnie.

Jeśli chodzi o sytuację polityczną, niewiele odbiega ona od roku 1917. Kanada jest w wojnie i rozbudowuje swoją armię. USA od roku podwyższa swoje kontygenty. Polacy rozumieją, że jak w wojnie poprzedniej, tak i obecnie sprawa jest wspólna. Tym właśnie między innymi należy tłumaczyć liczny ochotniczy zaciąg Polaków do Armii USA i Kanady. Nie mogę nie podkreślić, że grają tutaj również rolę sprawy zabezpieczeń rodzinnych, rent na wypadek śmierci, lub inwalidztwa i inne.

Wierzę jednak niezłomnie, że chociaż od tamtych dni upłynęło 25 lat, znajdą się Polacy, którzy wstąpią do Armii Polskiej. Oczywiście wtedy, kiedy będzie obóz i kiedy stworzone będą warunki ułatwiające dostanie się do tego obozu. Znam dobrze Polaków amerykańskich i wierzę, że choć dorasta wśród nich pokolenie czwarte, zrodzone w większości na ziemi amerykańskiej, bardziej narażone na zatracenie języka, jednak duch polski i tradycje polskie są wśród Polonii żywe. Sokolstwo i Weterani są przykładem niegasnącego patriotyzmu polskiego. Jeśli do współpracy nad nowym czynem Polonii staną wszystkie wielkie i mniejsze organizacje kierujące życiem Polonii, niewątpliwie osiągnięte będą rezultaty.

Tymi słowami gen. Haller kończy rozmowę.

Kiedy opuszczam gabinet Generała, przychodzą mi na myśl częste listy żołnierzy polskich w Szkocji o Armii Polskiej w Ameryce. Szczególnie jeden utkwił mi w pamięci. "W Was—Rodacy z Ameryki—pisał polski żołnierz—jest nasza nadzieja. Wierzymy, że staniecie wraz z nami w jednym szeregu. Nie ma nas zbyt dużo. W wędrówce po wszystkich krajach Europy kruszymy się. Czekamy więc na Was, przyjedźcie zbrojnie i licznie. Będziemy bić się razem, bić zwycięsko . . . I znajdziecie wśród nas swych krajan, swojaków, braci."

Kazimierz Smereta

"I was astonished to read recently that out of the first 100,000 *volunteers who responded to the call of the President for service in the World War,* 40,000 *were of Polish descent, and that the Polish people consistently supplied volunteer enlistments far out of proportion to the number of Poles living in this country."*

"Byłem zdumiony, czytając nie dawno, że wśród 100,000 *ochotników, którzy odpowiedzieli na zawołanie Prezydenta do służby w wojnie światowej, znalazło się* 40,000 *ochotników polskiego pochodzenia i że Polacy gęsto się zapisywali na listy ochotnicze zupełnie nieproporcjonalnie do liczby Polaków, żyjących w tym kraju."*

Gubernator W. Kohler z Wisconsin w mowie na odsłonięciu pomnika Pułaskiego w Stevens Point 11 października 1929.



HYMN DO ORŁA BIAŁEGO

Śpiew bojowy Polaków Amerykańskich z 1917 roku

Hej, Orle Biały, pierzchły dziejów mroki,
Leć dziś wspaniały, hen, na lot wysoki,
Nad pola chwały, nad niebios obłoki,
Ponad świat cały, wielki i szeroki!

Hej, na bój, na bój, gdzie wolności zorza!
Hej, na bój, na bój, za polski brzeg morza!
Za Polskę wolną od tyrańskich tronów,
Za Polskę dawną Piastów, Jagiellonów.

Hej, Orle Biały, ongi tak sławiony,
Zbyt długo brzmiały pogrzebowe dzwony,
Rozpaczne szały i żałosne tony . . .
Wiedź nas na śmiały czyn, nieustraszony:

Hej, na bój, na bój, taka wola Boża!
Hej, na bój, na bój, za Gdańsk i brzeg morza!
Za ziemię całą, tę rodzoną, naszą,
Za wolność wszystkich, za naszą i waszą.

Słowa i muzyka *Ignacego Jana Paderewskiego*

Niestety możemy tu dzięki uprzejmości kolegi-żołnierza, podać tylko słowa tego historycznego i tak znowu aktualnego, tak dokładnie przystającego do obecnej chwili "Hymnu." Jego części muzycznej—artystycznie bardziej istotnej—nie zdołaliśmy, mimo usilnych starań, odszukać na terenie Wielkiej Brytanii. Bylibyśmy serdecznie zobowiązani Czytelnikom po tej i zwłaszcza po tamtej stronie Oceanu, aby nam w tym pomogli. Oby ta pieśń pełna płomiennej siły zaczęła niedługo rozbrzmiewać w obozach Armii Polskiej po tej i tamtej stronie Oceanu, na wolnej ziemi brytyjskiej i na wolnej ziemi amerykańskiej.

Redakcja

W przededniu nowej armii polskiej

Rozmowa z generałem Bronisławem Duchem

Gdy zdarza się nam mówić i myśleć, nam żołnierzom o nowych żołnierzach naszej armii, a zdarza się teraz i mówić i myśleć często, ciągle, uparcie—ta sprawa, ta nadzieja, to gorące pragnienie nasze łączy się z osobą gen. Bronisława Ducha. Wiemy o tym, że gdyby za oceanem powstały—spodziewamy się, że nie długo powstaną — warunki sprzyjające formowaniu oddziałów polskich Generał-dowódca wielkiej pamięci I Dywizji Grenadierów wyjedzie tam z pierwszą komórką kadrową. Gromadząc więc w tym amerykańskim numerze "Polski Walczącej" wszystko, co w przeszłości i teraźniejszości i nawet w najbliższej i dalszej przyszłości łączyło, łączy, łączyć będzie Polonię Amerykańską z Polską—postanowiliśmy uprosić gen. Ducha o krótką rozmowę.

Pokój-pracownia Generała nie odznacza się niczym odrębnym. Jest to zwykły pokój hotelowy. Ale to, co w nim uderza, to mnogość map: na jednej ścianie karta British Isles, *które są dziś fortecą i redutą walki o wolność, na stole wielka karta* Germany-Poland, *na ścianie, nad stołem mapa Italii i Bałkanów i olbrzymia* Bartholomew's Chart of the World on Mercator's projection, *na której Kanada kwitnie różowo, jak polska trześnia, a Stany Zjednoczone powiewają zielonym, wiosennym kolorem nadziei. Ta mapa odgrywa sporą rolę w naszej rozmowie. Generał raz po raz z żywością powstaje z krzesła i podchodzi do niej, gdy rozmawiamy o przeszłych okresach jego żołnierskiej służby.*

— Widzi Pan—*mówi, wodząc palcem po kolorowych plamach, po siatce dróg, brzegów i miast*—już się tu w Anglii dokładnie zamknęło koło moich wędrówek. Najpierw, po kampaniach odbytych z 3-im pułkiem Legionów, po przejściu II Brygady na stronę Koalicji pod Rarańczą w roku 1918 i po walce z Niemcami pod Kaniowem, przez Kijów, Moskwę, dobrnąłem na Murmań, gdzie gen. Haller zaczynał formować oddziały polskie. Tam dowodziłem 1 kompanią strzelców. Po walkach z bolszewikami wróciłem z oddziałem murmańskim w roku 1919 do kraju—przez Edynburg. W tym mieście, które dziś znowu rozbrzmiewa gwarem polskim, gościliśmy sześć tygodni, jego ulicami maszerowaliśmy ze słynną białą niedźwiedzicą, Baśką Murmańską; była na żołdzie mojej kompanii i umiała chodzić w szeregu.

Palec Generała zamyka półkole na Edynburgu, kreśli od Edynburga ówczesną drogę powrotną Murmańczyków na Szczecin, która będzie, da Bóg, także szlakiem naszego powrotu. Uśmiechnięty do wspomnienia Baśki Generał opowiada dalej:

— Po powrocie do Polski dowodziłem batalionem murmańskim (w składzie 64 pp.) w wojnie bolszewickiej. O tym, co było dalej nie warto mówić w szczegółach: Wyższa Szkoła Wojenna, dowództwo pułku, dyrekcja nauk w Centrum Wyszkolenia Piechoty—służba żołnierska, aż do czasu wybuchu wojny.

— A w kampanii wrześniowej?

— W kampanii wrześniowej byłem dowódcą piechoty dywizyjnej. Ostatni, zwycięski bój stoczyliśmy pod Krasnobrodem 28 września. W drugiej połowie października przedarłem się na Węgry, stąd przez Jugosławię do Francji, gdzie z rozkazu Naczelnego Wodza dowodziłem I Dywizją Grenadierów. Po kampanii francuskiej drogą okrężną dotarłem znowu do Anglii, jak dwadzieścia dwa lata temu. Drugie półkole się zamknęło.

Pytam Generała o ten polski krwawy wrzesień.

— Wrażenia moje są z jednej strony straszliwe, jeśli chodzi o nasze ubóstwo techniczne, z drugiej niezwykle podniosłe i piękne jeśli chodzi o postawę żołnierza. Niemcy mieli przerażającą przewagę lotnictwa wszelkiego rodzaju, broni pancernej i wielką ilość artylerii. Gdziekolwiek nacierali, stosowali najpierw masowe koncentracje ognia i lotnictwa bombardującego, potem ruszało natarcie czołgów i dopiero głęboko z tyłu, szła piechota. Z naszej strony mogliśmy temu przeciwstawić tylko wolę bezwzględnej walki aż do pełnego poświęcenia. Mieliśmy żołnierza wspaniałego. Doświadczenia wszystkich wojen dowodzą, że żołnierz może nie jeść, nie spać, a bić się i maszerować w ciągu trzech dni. Nasz żołnierz w tej kampanii zaraz od pierwszych dni walki nie jadł normalnie, nie spał i bił się do końca września, odbywając forsowne marsze nocami. Noce były też naszym jedynym sprzymierzeńcem, wtedy nie mogły działać czołgi ani lotnictwo, wtedy wykonywaliśmy wypady na Niemców, prawie zawsze uwieńczone powodzeniem.

Pamiętam i nie zapomnę nigdy jednego momentu. Było to 24 września w lasach zamojskich, kiedy 39 Dywizja przebijała się na Tomaszów Lubelski. Wszystkie odwody były już wyczerpane w natarciu. Niemcy zaczęli wściekłe przeciwnatarcie i oskrzydlili nas z prawej strony. Zebrałem wszystkich kogo się dało: telefonistów, saperów, taborytów. Poderwała się cała linia. Ruszyliśmy. Niemcy nie wytrzymali, nigdy nie wytrzymywali w tej kampanii, walki na bagnety. Umieli siedzieć w czołgach i kryć się za artylerią. Doszliśmy aż pod m. Barchaczów, biorąc cenny sprzęt i jeńca. Tak otworzyliśmy sobie drogę na Tomaszów Lubelski. Było już późno wieczorem, godzina 21, gdy skończyliśmy przeciwnatarcie. Wtedy, wśród jęku rannych, w jazgocie jeszcze grających maszynek i karabinów, ktoś zaintonował "Jeszcze Polska." Wszyscy, ilu nas było, podjęli melodię. Tego nie można zapomnieć. Byliśmy wówczas silni na miarę olbrzymów.

— Jaki jest według Pana Generała bilans września?

— Był to egzamin żołnierza i narodu, jakiego bodaj nie mieliśmy w naszej historii. To jedno. Drugie: Polska wygrała dla zachodu Europy ośm miesięcy, przez które Hitler lizał się z ran otrzymanych w Polsce. I trzecie: nauka na przyszłość. Gdyby Polska była tak samo uzbrojona, jak Niemcy prawdopodobnie nie było by wojny. Brakło by Niemcom na nią odwagi. Sama Polska nie była w stanie tak się uzbroić. Z tego wynika, że jej siła leży nie tylko w jej własnym interesie, ale i w interesie Zachodu.

— Taki był żołnierz w kampanii wrześniowej, a żołnierz w kampanii francuskiej?

— W 80% był to żołnierz pochodzący z emigracji. Z początku, nie rozumiejąc powodów klęski, boczył się trochę na kolegów z Polski i nie bardzo ich pojmował. Później na froncie, gdy widział rozkład armii francuskiej, gdy stwierdzał naocznie nieugiętą postawę swojego wojska, był dumny i szczęśliwy, że służy pod polskimi sztandarami. Mimo niepełnego przeszkolenia bił się świetnie. Górował nad żołnierzem francuskim także i dlatego, że znaliśmy już dobrze taktykę niemiecką.

Warto wspomnieć jeden przykład. 14 czerwca—w dniu, w którym padł Paryż—Niemcy przerwali francuską linię obrony na południe od Saarbruecken. Wtedy 3 batalion 1 pułku i O.R. dywizji stojące z tyłu przeszły samorzutnie do przeciwnatarcia, odrzucając Niemców poza linię i zadając im ciężkie straty. Dowódca 20 korpusu francuskiego, w którego skład wchodziliśmy, gorąco gratulował mi takiej postawy oddziałów. Aplauz Francuzów był powszechny, wpływ na ich nastrój ogromny. Niestety byliśmy już wtedy okrążeni od południa. Zaczął się odwrót, jak w Polsce. Walka w dzień, marsz w nocy. Najcięższą rozprawę mieliśmy 17 i 18 czerwca nad kanałem Marna-Ren. Niemcy przełamali odcinek 2 pułku. Przeprowadziłem przeciwnatarcie, którym kierowałem osobiście ze względu na wagę sprawy, groziło to bowiem załamaniem się frontu obrony całego korpusu. Niemcy zostali odrzuceni za kanał z dużymi stratami. Mieliśmy wtedy również duże straty.

Na ten moment przypadła prośba rządu francuskiego o zawieszenie broni. Spowodowało to całkowite załamanie się wojsk francuskich, których siła moralna i tak nie była wielka. W dniu 18 czerwca wieczorem dotarł do nas rozkaz radiowy Naczelnego Wodza, nakazujący nawiązanie łączności z oficerami angielskimi i przebijanie się do Szwajcarii. Teraz stał przed nami problem: czy zostać z Francuzami i bić się do ostatniej chwili, czy też przedzierać się w stronę Szwajcarii, od której dzieliła nas przestrzeń jakichś 160 mil. Zdecydowałem się zostać z Francuzami do końca, dopóki będą się biły oddziały sąsiednie, aby nam nie mogli zarzucić, żeśmy ich opuścili w najcięższej chwili. Jednocześnie nie mogłem pozwolić na to, aby Dywizja dostała się do niewoli.

W nocy z 20-go na 21-go czerwca zwołałem odprawę wszystkich dowódców, na której podałem sytuację i decyzję: mimo kilkakrotnego pierścienia niemieckiego, który nas otacza, będziemy się bić do ostatniej chwili razem z oddziałami francuskimi, a kiedy przestaną one istnieć, dam rozkaz przejścia w góry i w lasy, gdzie zniszczymy ciężki sprzęt, podzielimy się na drobne grupki i będziemy się przedzierać do nieokupowanej Francji. 19-go dywizja francuska z lewej strony przestała istnieć. Dnia 21-go przestał istnieć sąsiad prawy. Odrzuciliśmy jeszcze Niemców, dopiero potem zapadliśmy w lasy, gdzie nastąpiło wykonanie decyzji. I przeszliśmy poprzez linie niemieckie bo—jak to mówiłem przez radio do kraju—pchała nas wielka wiara w świętą sprawę. Nie było dla nas żadnych przeszkód i nie będzie, póki celu nie osiągniemy.

— Jakie straty miała Dywizja Pana Generała?

— Ogólne straty były około 45% stanu. Jedyną naszą pociechę stanowi to, że Niemcy mieli równie ciężkie straty, co sami przyznawali. Do Anglii dostała się dzięki wysiłkom Naczelnego Wodza większa część naszej armii z Francji. To co tu jest to element wyborowy, to wojsko kadrowe, które przeszło ciężkie kampanie, zdolne do wchłonięcia wielkiej ilości żołnierza.

— Jakie są widoki i możliwości na przyszłość?

— Wiążą się one z kilkumilionową Polonią Amerykańską. Od niej będzie zależało, czy będziemy mieli wielką armię wyzwoleńczą, skrzydlatą i pancerną, godną żołnierzy września, żołnierzy Francji i żołnierzy Narwiku, godną naszych pilotów i marynarki polskiej, która ma już swoją legendę. Jasno wyrażają tę myśl słowa Naczelnego Wodza wypowiedziane w Detroit do Polonii Amerykańskiej: "Zwracam się do Was o pomoc dla Polski cierpiącej, ale nie zadługo może zwrócę się do Was o pomoc dla Polski walczącej." Jesteśmy najgłębiej przekonani, że ta chwila przyjdzie, bo w gigantycznej walce dwu światów, jaka się toczy, trzeba na szalę rzucić wszystko, by ją przeważyć na stronę świata demokracji, sprawiedliwości i wolności. Od tego zależy w równym stopniu los Polski, Wielkiej Brytanii i Stanów Zjednoczonych.

I tu Generał, który widział ogień i krew, klęskę i chwałę—spojrzał w stronę różowo kwitnącej Kanady, w stronę Ameryki zielonej, jak nadzieja.

Tymon Terlecki

"Dzisiejsza wspaniała manifestacja solidarności sojuszniczej—jest najwymowniejszym przeciwstawieniem fantastycznym kłamstwom Hitlera o nowym porządku europejskim, jak również kłamstwom jego, że wojna się toczy o zachowanie plutokracji. My wszyscy doskonale wiemy, o co walczymy! Walczymy przeciwko uciskowi, tyranii i niewolnictwu."

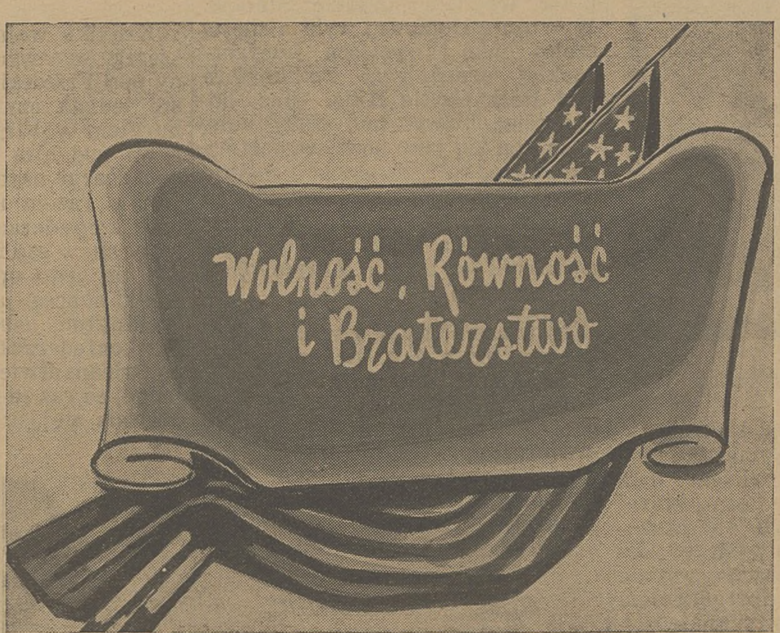
Z przemówienia Generała Władysława Sikorskiego w Chicago.

"Nasz nieugięty naród i dzielnie walcząca armia wiedzą, że Wasze serca są z nami, ale oczekują na wasze czyny."

Z przemówienia Generała Władysława Sikorskiego w Carnegie Hall w Nowym Yorku.

"Polski obóz wojskowy będzie wkrótce ustanowiony, w waszym sąsiedztwie w Kanadzie. Wiecie, co będzie wówczas waszym zadaniem."

Z przemówienia Generała Władysława Sikorskiego w Bufallo.



OD ZACHODNIEJ STRONY

Padł pod ciosami bastion Lafayette'a,
zgasło braterstwo, wolność się zaćmiła.
Z równości—rugi, obozy i ghetta,
wspólne więzienie, męki i mogiła.

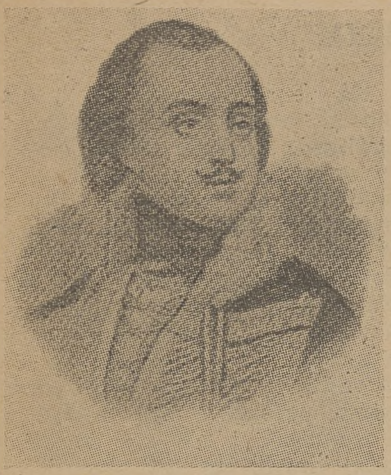
Wściekły się gomon po świecie przewala.
Tonny żelaza grzęzną w krwawym ile,
i tak złowrogo chyboce się szala,
i nie Maraton wciąż, lecz Termopile.

Została twierdza na morskim ostrowiu,
patrząca w fale, wybuchami wzdęte.
Czuwa niezłomnie. Broń na pogotowiu,
a tam, na falach—lux ex occidente.

Przybywaj, blasku! Porozpraszaj mroki!
Daj nam swe szpony i mnóż nasze męstwo,
orle zamorski z pampasów szerokich!
Przed nami walka, a z tobą—zwycięstwo!

Antoni Bogusławski
zdobił Tadeusz Lipski

Generałowie Polacy w Armii St. Zj.



Kazimierz Pułaski

ŻOŁNIERZ POLSKI W STANACH ZJEDNOCZONYCH

W dziejach Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej Polacy odegrali niepoślednią rolę. Prawo do pracy, do życia i dzisiejszego pełnego współobywatelstwa na ziemi Washingtona dla czterech i pół miliona Polaków, zdobywał cały zastęp wybitnych Polaków. Historia każdego niemal Stanu, każdej ziemi, rejestruje nazwiska Polaków, pionierów, odkrywców, inżynierów, uczonych i prostych osadników.

W szeregu tych jednak, którzy polskie imię za Oceanem utrwalili, którzy położyli niezniszczalne podwaliny pod wspólnotę historyczną dwóch państw, Stanów Zjednoczonych i Polski, najwybitniejsze miejsce przypada polskim wojskowym. Od chwili powstania pierwszej osady polskich potażników w Virginii, z końcem siedemnastego wieku, nazwiska polskich żołnierzy spotykamy wszędzie. Są w pierwszych wyprawach kolonizacyjnych. Walczą z Indianami, utrwalają panowanie angielskie na tym terenie ścierania się interesów politycznych i kolonialnych Anglii, Francji, Holandii, Hiszpanii i innych państw Europy. Walczą w okresie Wojny Rewolucyjnej, dając Stanom bijącym się o wolność i samostanowienie swych najlepszych przedstawicieli. Nie brak ich potem w szeregach Armii USA w okresie Wojny Secesyjnej za czasów Lincolna, ani w wojnie hiszpańskiej, ani w wyprawach o Teksas czy kampaniach meksykańskich. Nazwiska Polaków figurują wśród uczestników wypraw morskich. W czasie Wielkiej Wojny Polacy z Ameryki dają Armii Stanów Zjednoczonych 300.000 żołnierza, a 27.000 Armii Polskiej we Francji.

Wielka jest droga chwały oręża polskiego w Stanach Zjednoczonych. Oręż polski dał Polsce imię, a Polonii Amerykańskiej najlepszy dokument jej zasług wobec nowej Ojczyzny. Z setek tysięcy żołnierzy polskich wielu było wysokimi oficerami, tysiące dosłużyły się rang oficerskich. Sześciu było generałami. Pierwszy z nich to—Pułaski.

KAZIMIERZ PUŁASKI

Bohater dwóch światów, Kazimierz Pułaski jest wraz z Kościuszką najpopularniejszym Polakiem w historii amerykańskiej. Po upadku Konfederacji Barskiej, jako jeden z jej przywódców znalazł się Pułaski w Konstantynopolu.

Tutaj doszły go wieści o rewolucji Stanów Zjednoczonych i o misji Franklina we Francji, który zbierał ochotników europejskich i zachęcał do wyjazdu za Ocean dla walki. Nie namyślając się wiele, śpieszy Pułaski do Paryża i 20 sierpnia 1777 roku ląduje na ziemi amerykańskiej, gdzie miał pozostać na zawsze nieśmiertelną chwałą okryty. List, jaki przywiózł Pułaski od Benjamina Franklina do Washingtona wodza powstańców, zawierał między innymi takie zdanie . . . " Hrabia Pułaski z Polski, na całą Europę sławny oficer ze swego bohaterstwa i brawurowej obrony wolności ojczystego kraju, przed trzema najeźdźczymi potęgami, Rosją, Austrią i Prusami, będzie miał zaszczyt osobiście wręczyć niniejsze pismo w Wasze ręce. Gorąco go polecam, jako największego oficera w Europie."

Nie czeka długo Pułaski na wojenne wawrzyny. Zameldowawszy się w obozie Washingtona pod Filadelfią i serdecznie przez niego przywitany, w krótkim czasie otrzymuje od Kongresu nominację na dowódcę Kawalerii Stanów. W tej funkcji bierze udział w bitwie pod Brandywine, po której w dwa miesiące po przybyciu do Stanów, 10 września 1777 mianowany zostaje przez Kongres generałem Armii Stanów.

Krótka, ale pełna wspaniałych momentów bohaterstwa i solidnej uczciwej pracy nad tworzeniem Kawalerii Stanów, jest kariera Pułaskiego. Na czele swych wojsk, a potem jako dowódca samodzielnego Legionu prowadzi Pułaski walkę podjazdową, kilkakrotnie brawurowymi atakami i manewrami ratuje armię amerykańską od zagłady, jak np. pod Warren, pod Germantown a dalej w wielu potyczkach i spotkaniach we wschodnich stanach w New Jersey, pod Tawern, White Marsh i innych.

W początkach 1779 roku walczy zwycięsko z Anglikami w Karolinie, wypędzając ich z tego stanu. We wrześniu przydzielony zostaje do armii gen. McIntosh w Savannah w Stanie Georgia, gdzie brawurowymi pociągnięciami zaskakuje Anglików, nawiązuje łączność z odciętą flotą francuską, przerywając linie nieprzyjacielskie.

Dnia 9 października tegoż roku uderza Pułaski na obóz wroga. W czasie ataku dostaje postrzał w prawe biodro. Ciężko ranny przeniesiony zostaje na okręt amerykański Wasp, na którym dwa dni później skonał. Pozostała po nim piękna i bohaterska legenda, która żyje po dziś dzień i pozostało miano twórcy wolności Stanów, obok Washingtona, Lafayetta, Kościuszki.

TADEUSZ KOŚCIUSZKO

W roku 1783 mianowany zostaje generałem Armii amerykańskiej pułk. Tadeusz Kościuszko, od ośmiu lat pozostający w służbie Stanów Zjednoczonych. Zaciągnął się do niej jako pułkownik saperów.

W ciągu szeregu tych lat buduje Kościuszko fortyfikacje Billingsportu koło Filadelfii, dalej wzgórza Surar Loaf, jest twórcą



Tadeusz Kościuszko

pozycji pod Saratoga, które przyczyniły się do zwycięstw gen. Burgoyna. Jego dziełem była słynna forteca West Point, której Anglicy nie odważyli się atakować. Wielu wojskowych w późniejszych już czasach wydało opinię, że dzięki fortyfikacjom Kościuszki mogli Amerykanie wywalczyć swoją wolność.

Kościuszko spotykał się w czasie swej służby z Pułaskim. Między innymi wspólnie spędzili Wigilię i Święta Bożego Narodzenia w r. 1777 w Trenton (dzisiaj liczne skupienie Polonii) w Stanie New Jersey, dokąd Kościuszko przybył umyślnie, by spotkać się z Pułaskim, z daleka, aż z pod granic Kanady.

Obaj bohaterowie Kościuszko i Pułaski wielką okryci chwałą, stanowią największą pozycję polską w budowie wolności Stanów Zjednoczonych. Obaj cieszą się wielką popularnością po dni dzisiejsze. Obaj dla Polaków z Ameryki są podstawą dumy z polskiego pochodzenia. Imionami ich nazwano liczne miasta, osady, ulice, place i mosty, obu wybudowano pomniki w wielu miastach Stanów.

GEN. ALBIN F. SCHOEPF

Po Kościuszce dopiero w bezmała 80 lat, w roku 1861, szlify generała USA zdobywa Albin Franciszek Schoepf.

Życiorysem jego interesował się szczególnie Prof. Mieczysław Haiman, historyk Polonii amerykańskiej. Według zebranych przez niego danych, gen. Schoepf urodził się na Podgórzu w Krakowie, jako syn urzędnika austriackiego. Swe studia wojskowe kończy we Wiedniu w tamtejszej Szkole Wojskowej, po której ukończeniu pełni służbę w armii austriackiej, jako oficer artylerii.

W służbie tej młodego porucznika Schoepfa zastaje rok 1848, brzemienny nadziejami wolności dla Polaków i innych uciśnionych narodów Europy, rok "Wiosny Ludów." W powstaniu węgierskim walczy wielu Polaków. Schoepf opuszcza służbę cesarską i wraz z Bemem i innymi polskimi żołnierzami walczy u boku Węgrów. Stąd po klęsce, już jako



Albin Schoepf

major, podąża wespół z Bemem i rzeszą Polaków i Węgrów do Turcji, gdzie przebywa do roku 1861 służąc w armii sułtańskiej. W roku tym wyjeżdża do Ameryki.

Do Armii Amerykańskiej wstępuje w r. 1861, uzyskując natychmiast stopień generalski. W jego karierze nie brak pięknych momentów, wysoko ocenianych przez wojenną historię Stanów. W Wojnie Domowej wybija się na czoło, jako zwycięsca konfederackiej armii gen. Zollikoffera pod Rock Castle Hills. Jest bohaterem bitwy pod Perryville, odznacza się jako dowódca fortecy Delaware, a wreszcie zostaje członkiem trybunału wojennego Stanów Zjednoczonych. Umiera w dniu 10 maja 1886 r. Pochowany został w stanie Maryland, w miejscowości Hyattsville.

Nawiasem dodać trzeba, że pokonany przez gen. Schoepfa, generał Armii Konfederackiej Zollikoffer, przyznawał się do polskości. Nie zostało to jednak stwierdzone. Gdyby przyszłe badania fakt ten potwierdziły, Polacy mogliby szczycić się siódmym generałem Polakiem, tym razem armii Stanów Południowych.

GEN. WŁODZIMIERZ KRZYŻANOWSKI

W cztery lata po mianowaniu Schoepfa, w roku 1865 mianowany zostaje generałem brygady Armii USA Włodzimierz Krzyżanowski. Uczestnik walk o niepodległość, wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych, gdzie wstępuje do Armii Amerykańskiej.

Początkowo pełni szereg funkcji, zdobywając sobie uznanie, jako wykładowca i współzałożyciel szkoły wojennej w N. Yorku. Odznaczał się niezwykłą siłą i odwagą. Jako dowódca i twórca jednego z nowojorskich pułków kawalerii bije się w Wojnie Domowej. Miano bohatera jednają



Włodzimierz Krzyżanowski

mu zwycięstwa pod Chancellorsville i pod Gettysburgiem.

W służbie swej w Armii USA dosłużył się wielu zaszczytów. Pochowany został w Brooklynie, skąd w r. 1938 Polonia Amerykańska przeniosła jego prochy na narodowy cmentarz Stanów Zjednoczonych w Arlington. Uroczystości te były okazją do wielkich manifestacji polskich. Brał w nich udział żyjący do dziś dnia syn generała Krzyżanowskiego, staruszek dzięki któremu zbadano dokładnie życie bohatera.

GEN. JÓZEF KARGE

Okres Wojny Secesyjnej łaskawy jest dla Polaków. W tym samym roku co Krzyżanowski, 13 marca 1865, generałem Armii USA, jako piąty z kolei Polak, mianowany zostaje Józef Karge.

Pochodził z Poznańskiego. Urodził się w r. 1823. Studia odbywa w Brześciu, Paryżu i Berlinie. Służy w Armii pruskiej. Po upadku powstania w Poznańskim, w którym brał udział, po pobycie w więzieniu, wyjeżdża do N. Yorku w r. 1851.

Do Armii USA wstępuje z chwilą wybuchu wojny domowej jako podpułkownik I go Pułku Kawalerii w N. Jersey. Później przenosi się do piechoty w Virginii i tu dopiero zajaśniał jako niezwykle zdolny i brawurowy dowódca. Jak Pułaski odznacza się niezwykłą śmiałością posunięć i decyzji, którymi zaskakuje nieprzyjaciela, zawsze odnosząc zwycięstwa.

Kroniki wojenne USA notują szereg jego wyczynów. Jest ranny pod Friedericksburgiem. Leczy się jednak szybko. Pod Strassburgiem w Virginii szrapnel rozrywa pod nim konia, nie czyniąc gen. Karge najmniejszej krzywdy. Innym razem ranny w ataku na obóz konfederacki w nogę, krótko leczy się w szpitalu, by bezpośrednio po jego opuszczeniu odnieść wielki sukces, jakim było zdobycie Wellington, jednej z ważniejszych baz konfederackich. Od północy aż po Orlean, stwierdzają kroniki wojenne, co raz to nowymi sukcesami utrwala się jego sława wojenna.



Józef Karge

Zmarł w r. 1892 i pochowany został w Princeton, w Stanie New Jersey.

GEN. JÓZEF E. BARZYŃSKI

Wojna Światowa nie dała niestety Polonii żadnego generała Polaka, chociaż w tej wojnie zasługi żołnierzy USA Polaków są bardzo duże.

Dopiero podczas obecnej wojny, w dniu 1 sierpnia 1940 Senat USA, na wniosek Prezydenta Roosevelta mianuje generałem brygady Armii USA Józefa E. Barzyńskiego. *Jest on pierwszym generałem polskiego pochodzenia, który urodził się w USA i przeszedł wszystkie szczeble amerykańskiej kariery wojskowej.*

Pochodzi z wielce zasłużonej dla Polonii rodziny polskiej. Urodził się w r. 1884 w St. Paul, w Stanie Nebraska. W r. 1905 kończy Akademię wojskową w West Point, w stopniu podporucznika. Pełni następnie służbę w 11 pułku piechoty w kilku miejscowościach wewnątrz Stanów. W r. 1911 już jako porucznik wyjeżdża wraz ze swym pułkiem na Filipiny, gdzie przebywa z przerwami do roku 1915.

W 1916 jako kapitan bierze udział w ekspedycji gen. Pershinga do Meksyku. W 1917 mianowany zostaje majorem i przydzielony do kwatermistrzostwa 86 dywizji. W r. 1918 ląduje we Francji, jako kwatermistrz 32 Dywizji Armii Ekspedycyjnej U.S.A. Po zawieszeniu broni pozostaje przez jakiś czas, wraz ze swą dywizją w Niemczech w okolicy Koblencji. Pełni następnie szereg funkcji w rozmaitych



Józef Barzyński

urzędach likwidacyjnych, by w r. 1919 zostać oficerem łącznikowym przy Poselstwie USA w Warszawie.

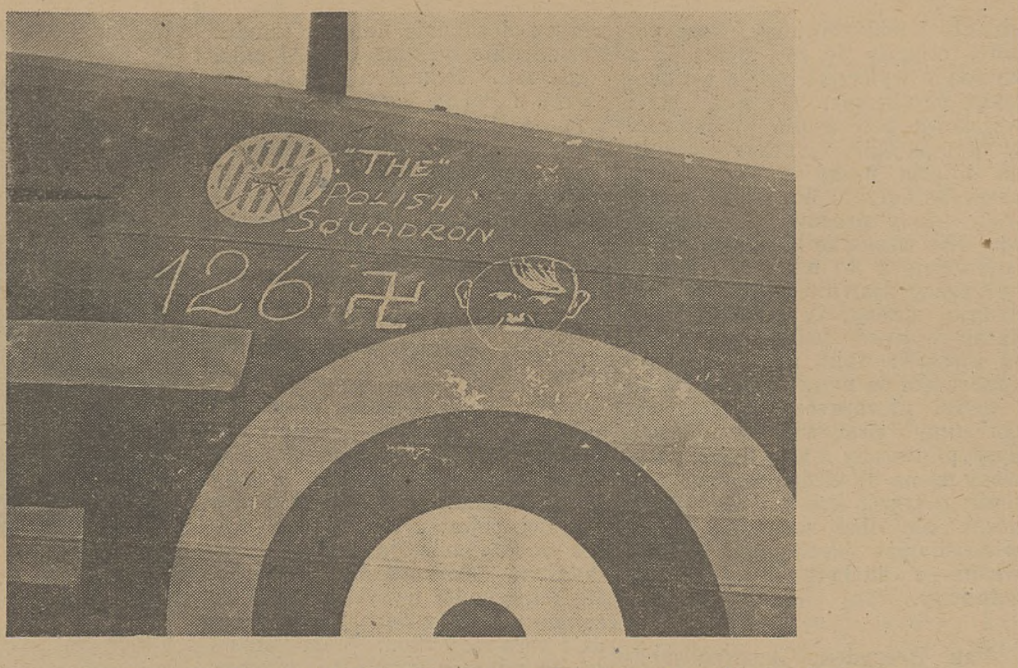
Po powrocie do USA wraca do swego dawnego stopnia kapitana (w Armii USA istnieją w czasie wojny stopnie tymczasowe). Po wojnie przechodzi ponownie dalsze stopnie kariery wojskowej, studiuje we Francji, jest wykładowcą w Szkole Intendentury USA, jest przydzielony do Sztabu Generalnego, w r. 1933 kończy najwyższą szkołę wojenną USA, tz. Szkołę Komendy i Sztabu Generalnego w Fort Leavenworth, po której w r. 1936, już jako pułkownik przechodzi do Kwatermistrzostwa Generalnego Armii USA w Washingtonie D.C. gdzie w r. 1940 doczekał się szlifów generalskich Armii Wuja Sama.

Stany Zjednoczone nie są jeszcze w wojnie. Amerykanie polskiego pochodzenia wstępują jednak licznie do Armii USA jako ochotnicy. 17% ochotników, to Polacy. Dziesiątki tysięcy Polaków obejmie również pobór przymusowy do Armii.

Historia wojskowa Polaków w USA nie jest zamknięta. Napewno z licznej gromady żołnierzy Polaków wyłoni się niejeden wybitny wojskowy, który sięgnie po nowe zaszczyty, jednając swą służbą sławę dla Armii USA, dla Polonii Amerykańskiej i dla Polski.

Bolesław Wierzbiański

"303"—dywizjon rodem z Ameryki



Bok jednego z aparatów dywizjonu "303." Nosi on znak kościuszkowski i cyfrę samolotów strąconych w chwili dokonywania fotografii. Komentator z "British Official Photograph" stwierdza: "126 *enemy scalps and they are still looking for more. The Swastika may be back-to-front, but the figure is accurate.*" (126 *skalpów nieprzyjacielskich i wciąż chce im się nowych. Swastyka jest może na wywrót, ale cyfra jest dokładna.*)

Kiedy w czerwcu 1939 roku wzrastało w Polsce naprężenie przedwojenne, Dowództwo Lotnictwa otrzymało z U.S.A. list. Pułkownik Cedric Faunt le Roy pisał: "Gdy kraj wasz znowu znajduje się w obliczu wojny, proszę, dysponujcie mną jako pilotem. Nie darmo noszę Virtuti Militari za obronę Lwowa. Zawsze jestem gotów."

Faunt le Roy. Z nazwiskiem tego Amerykanina kojarzy się obraz zabijaki, świetnego dowódcy amerykańskich pilotów, broniących Lwowa w 1919 r. Krzyż Virtuti zdobył le Roy brawurową akrobacją,jaką wykonał przed pociągiem, aby go zatrzymać. Pociąg wiózł na front wschodni transport żołnierzy. Faunt le Roy zobaczył, że o kilka kilometrów dalej wypad bolszewicki podminowuje tor. Dawał znaki żołnierzom, ale go nie zrozumieli. Zaczął więc wyprawiać tak diabelskie figury, że przerażony maszynista zahamował, chcąc uniknąć zderzenia z samolotem szalejącym tuż nad szynami. Transport był ocalony.

Śladami Faunt le Roy'a szła eskadra. O jej walkach tak pisze do gen. Listowskiego dowódca odcinka frontowego: "Amerykańscy lotnicy walczą, jak opętani. Bez ich pomocy dawno by nas diabli wzięli."

Piloci latali na austriackich "Albatrosach" i włoskich "Ballilach." Był to przeważnie sprzęt zniszczony, jaki za słone ceny sprzedawali Polsce usłużni dostawcy. Walka z kawalerią Budiennego przekształciła wkrótce myśliwców w szturmową eskadrę kontrkawaleryjską. Amerykanie zastosowali tu metodę Anglików z wielkiej wojny. Oto nadlatywali nad cel nisko, niewidoczni i nagłym wynurzeniem zza drzew czy wzgórza zaskakiwali zagony kawalerii wędrujące lasami lub łożyskami potoków. W robocie było wszystko: karabiny, bomby, aparaty fotograficzne.

Kozacy odpłacali zasadzkami. Harcowali po gościńcach, podnosząc tumany pyłu, a gdy zwabili samoloty, do głosu dochodziły karabiny ukryte w zaroślach. W ten sposób udało się bolszewikom zestrzelić kilka maszyn. Ale trudno było dostać w swe ręce pilotów. Z najcięższych opresji ratował ich spryt, zimna krew, szybka i celowa reakcja.

Raz por. Crawford musiał lądować na łące—kule przebiły mu zbiornik. Kozacy już galopują ku niemu, ale oto nadlatuje kolega, kpt. Corsi. Zrozumiał sytuację, spada na Kozaków. Konie ponoszą, spłoszone hukiem, zaledwie kilku jeźdźców dopada łąki. Tymczasem Crawford zdążył przełączyć silnik na zapasowy zbiornik. Zapuścił motor—rusza—trzasnęła kupa torfu—samolot chybnął się, ale nie, nie skapotował! Poszedł w górę, o parę metrów zaledwie przed nadjeżdżającymi w galopie bolszewikami. Pilot pogroził jeszcze z wysoka osłupiałym jeźdźcom i z Corsim "pod rękę" odlecieli ku swoim.

Porucznik Rolison przeżył inną przygodę. Nie mógł naprawić maszyny, gdy go strącono—schronił się do lasu. Ale zamiast ukryć się w głębi, przytaił się od razu w najbliższym gąszczu. Bolszewicy wbiegli za nim. Daremnie szperali i klęli, daremnie rozgarniali krzaki, szukali go tylko wśród dużych, nie przypuszczali, aby skrył się w małych.—Coś robił przez te dwie godziny obławy?—spytali koledzy Rolisona, gdy po trzech dniach wędrówki wrócił do nich, oberwany i głodny.—Miałem w kieszeni słownik, więc uczyłem się słówek rosyjskich—odparł Rolison.

Co kazało tej gromadce pilotów walczyć na obcej ziemi? Trzech z nich: Mac Callum, Graves i Kelly zginęli w walkach, a mimo to żaden nie wycofał się z frontu. Pełnili służbę niespożyci, niezmużeni, śmiało, wszędzie i o każdej porze.

Po odpowiedź trzeba sięgnąć do chwili, gdy po skończonej wielkiej wojnie wojska amerykańskie demobilizowały się we Francji. Byli tam i lotnicy amerykańscy; wśród nich kpt. pilot Miriam Cooper. W rozbawionym, szczęśliwym Paryżu doszły go wieści o nawale bolszewickiej, jaka runęła na młode, jeszcze nieokrzepłe państwo polskie. Usłyszał o mężnej obronie Lwowa; wtedy drgnęło w nim serce. Przypomniał sobie, że z jego pradziadem walczył ramię w ramię Kazimierz Pułaski i poległ pod Sawannah.

Kościuszko stał się również dla Ameryki symbolem gorącej miłości wolności, miłości, która walczy wszędzie, gdy we własnej ojczyźnie o wolność walczyć już nie sposób.

Pod wpływem tych wspomnień decyzja kpt. Coopera zapadła szybko. Zwrócił się do mjr. Faunt le Roy; razem sformowali ochotniczy oddział amerykańskich pilotów i zameldowali Ignacemu Paderewskiemu o swej gotowości bojowej. Wkrótce wyjechali do Warszawy, gdzie zgłosili się do N. Wodza, Józefa Piłsudskiego.—Oto chwila, w której możemy spłacić Polsce dług za Kościuszkę i Pułaskiego—zameldował mjr. Le Roy.—Proszę nas wysłać na najczynniejszy odcinek frontu.—Dobrze brzmiała odpowiedź.—Pokażcie, co umiecie.

Amerykanie zostali wysłani na front wschodni i włączeni do eskadry myśliwskiej. Nazwali ją imieniem Kościuszki. Wkrótce na kadłubach latających gratów—zabłysł barwny, piękny znak: na tle amerykańskiego gwiaździstego sztandaru dwie kosy na krzyż i rogatywka kościuszkowska. Znak ten mówił: dzieli nas ocean. Od śmierci Pułaskiego pod Sawannah, od uściśnięcia dłoni Kościuszki przez Waszyngtona upłynęło prawie półtora wieku. Ale nad czas i przestrzeń mocniejsza jest przyjaźń narodów, które łączy miłość wolności.

W wolnej Polsce godło eskadry amerykańskiej dostało się w spadku 111-ej eskadrze myśliwskiej 1-go pułku lotniczego w Warszawie. Co rok, 29-go maja śmigłe "Pezetele" leciały nad Lwów, aby szumem skrzydeł napełnić łyczakowski cmentarz, gdzie wśród obrońców Lwowa, w mocnym zapachu wiosennych jaśminów leżało trzech dalekich a bliskich przyjaciół. Co rok któryś z Amerykanów przyjeżdżał ze Stanów i odwiedzał kościuszkowców. Miriam Cooper przywiózł swoją książkę wydaną po angielsku o dziejach frontowych eskadry.

Ta tradycja oddziałała niezmiernie żywo na wyobraźnię jednego z pilotów, por. Stanisława Latwisa—lotnika z łaski Bożej i własnej twardej pracy. W jego rodzinie znany był od lat marsz kosynierów Kościuszki, wśród których walczył pradziad pilota. Porucznik spisał starą melodię, o zmiennym zabarwieniu uczuciowym: mocną, silną we wstępie i finale, w innych częściach to żywą i skoczną niemal, to znów rzewną. Melodia została uzupełniona tekstem i odtąd była grana i śpiewana jako "Marsz Lotników." Z czasem stał się on lotniczym hymnem; nim witano zwycięzcę w *challenge'u*—Bajana, nim żegnano poległych lotników.

Poza tekstem dotyczącym całego lotnictwa hymn ma jedną ze strof podwójną — poświęconą eskadrze imienia Kościuszki:

"Srebrne Kościuszki kosy
lśnią na maszynie,
Kształt rogatywki na gwiaździstym tle sztandaru.
Łączą się krajów losy
w braterskim czynie,
Krew za krew, naród za naród!"

W miarę tego jak rosło i rozwijało się lotnictwo w wolnej Polsce, kościuszkowcy zmieniali sprzęt i hangary na co raz lepsze. Wreszcie kolorowy znak wymalowano na wielkim, nowoczesnym hangarze Okęcia. Obok rezydowały eskadry "Jaskółek" i "Kogutów," które żartobliwie nazwały kościuszkowców "cepami." Płynęły pracowite lotnicze dni. Z walk powietrznych piloci wracali zmęczeni i—szczęśliwi. To wszystko były wprawki do zwycięskiego rozegrania wielkiej gry—kiedyś. . . .

To "kiedyś" nastąpiło 1-go września 1939 roku.

Pierwszego "szkopa" w pułku warszawskim zestrzelił właśnie kościuszkowiec, por Stefano. Lecieli razem—cały dywizjon: "Koguty" i "111-ta." Por. Stefan spojrzał na zachód. We mgle porannej, daleko, ciemniała Warszawa.

Lecieli na północny wschód, gdyż stamtąd, od strony Prus sygnalizowano nieprzyjaciela. Wytężył wzrok—są! Na dalekim planie ciemnieją sylwetki "Dornierów" i "Heinkli." Myśliwcy rozprysłi się na komendę dowódcy. Por. Stefan i sierżant Ryszard zaatakowali jeden z bombowców. Skrył się w chmurze, krążyli więc nad nią. Gdy się wynurzył, spadli mu na kark. Pierwszy atakował Stefan. Natarł z taką furią, że drugi pilot nie miał już poco oddawać swojej serii; płonący "Dornier" spadał w dół. Co za radość! Pierwszy "szkop" w dywizjonie!

Gdy w pół godziny potem obie eskadry zebrały się na polowym lotnisku, Stefan przywiózł na swej maszynie części rozsypanego bombowca—dowód bliskości, z jakiej strzelał. Jeden kawałek stali schował do kieszeni.—To dla Hanki — powiedział, myśląc o narzeczonej. Ale nie oddał jej swego trofeum. Zginął następnego dnia, atakując trójkę myśliwców.

Eskadra kościuszkowska brała udział w niejednej wrześniowej bitwie. Broniła stolicy z odwagą, ze szlachetną pasją. Dopóki—dopóki było na czym latać. W największej bitwie powietrznej eskadry, nad Rembertowem, dowódca został zestrzelony. Skakał już mocno poparzony. Skakał pilnie strzegł, aby żaden z Niemców nie mógł ostrzelać białego parasola spadochronu. Dowódca wylądował szczęśliwie.

Po ciężkiej tułaczce przez Rumunię, Jugosławię, Grecję Kościuszkowcy dotarli do Francji. Tu stworzyli klucze walczące na froncie. W Anglii łącznie z bratnią 112-ą eskadrą stworzyli dywizjon 303 i podjęli starą tradycję. "Spit*firy*" eskadry "303" mają na kadłubach ten sam znak, jakim dwadzieścia lat temu zdobili samoloty Faunt i towarzysze—piloci z Ameryki.

Trzysta trzy. To on bronił Londynu w jesieni 40-go roku. Po zasłużonym odpoczynku na jednym z lotnisk w głębi wyspy obecnie znów jest w pierwszej linii frontu.

Trzysta trzy. To on pierwszy rozniósł w takim natężeniu po Anglii i po świecie całym sławę polskiego myśliwca. 19 maszyn strąconych ma jeden z pilotów; inny strącił 10, inni po 8 i 6. W sumie dywizjon zestrzelił w jednym miesiącu wrześniu 111 maszyn. Jest to rekord lotnictwa w całym Imperium.

Ale są i straty. Znów musiał skakać poparzony jej dowódca, którego Naczelny Wódz w szpitalu dekorował krzyżem Virtuti. Utonął w La Manche drugi. Zginął w ciężkiej walce pilot—historyk eskadry. Ale historię piszą dalej inni. I już dziś jest to historia chwały.

Jeśli do godła, na którym błyszczą racławickie kosy w otoku amerykańskich gwiazd przybędą brytyjskie lwy, znak eskadry będzie istotnym wyrazem treści, wzbogaconej dzisiaj o jeszcze jedną przyjaźń na śmierć i życie: Polski i Anglii.

W styczniu 40 roku z jednego z ośrodków lotniczych wyszedł list niosący pragnienie, któremu nawet najwięksi optymiści wróżyli marny los. Pilot—człowiek z nieprawdziwego zdarzenia: wewnętrznie piękny—na pozór dziwadło, fantasta i mistyk, a jednocześnie najrozsądniejszy realista, pisał do rodzinnego miasta, że ono, właśnie ono powinno przysłać sztandar dla lotnictwa.

Magiczne było działanie prośby-rozkazu. W dalekim mieście cieniutkie igły złotem, czerwienią i szafirem jęły w tajemnicy wyszywać nadesłany wzór, a każdy ścieg whaftowywał w jedwabne tło sztandaru uczucia rozjaśniające mrok okrutnej niewoli: miłość i nadzieję. Choć haft to robota rąk zwykłych, nie rąk artystek—ludzie na widok sztandaru. mają łzy w oczach. Szczupła, bolesna twarz Matki Boskiej, wąskie ręce splecione na piersi przyciskają serce pełne żałości. Czerwono biała szachownica, srebrna odznaka pilota, złote groty observatora — wszystko jest tak jak było w czas wolności i—jak znów będzie.

W marcu sztandar przybył do Londynu. Wysłano go raz, ale trafił na łamanie się frontów. Wrócił i został wysłany po raz drugi. Jakimi szedł drogami—wie o tym chyba tylko Matka Boska, przed której wizerunkami w kraju i na obczyźnie pilot zakupił mszę na intencję sztandaru.

Wkrótce lotnicy otrzymają ten sztandar; zrodzony z natchnienia jednego z nich, wykonany przez kobiety polskie—kochające, wierzące i wierne.

Sztandar ma być kolejno w każdej jednostce lotniczej. Obejmie nad nim straż również i dywizjon 303.

Miłość żąda ofiary—mówi zdanie na sztandarze. Mysliwcy z 303 mają pełne prawo, aby piastować tę relikwię. Bo wszystko w jednostce lotniczej imienia Kościuszki od pierwszych chwil jest rzetelnym i pięknym stwierdzeniem tej prawdy.

MARSZ LOTNIKÓW

Według melodii marsza kosynierów z roku 1794

Lotnik skrzydlaty władoa
Świata bez granic
Ze śmierci drwi, w twarz się życiu głośno śmieje.
Drogę do nieba skraca,
Przestrzeń ma za nic,
Smutki mu z czoła pęd zwieje.

Jak równo silnik gra,
Jak śmiało śmigło tnie!
Już ginie pośród chmur najśmielszych orłów
niebotyczny ślad.
Niestraszny mrok i mgła,
Niestraszny wiatr, co dmie,
Jesteśmy od Ikara mędrsi o tysiące lat!

Czasami silnik płonie, ogień żre i pali,
Przyczajone śmigło przetnie spadochronu śliską nić.
Męczy się mózg i dłonie, serce w piersiach wali,
Bośmy młodzi, chcemy zwycięstw, chcemy żyć!

A jeśli z nas
Ktoś legnie wśród szaleńczych jazd,
Czerwieńszy będzie kwadrat,
Nasz lotniczy znak.
Znów, pełny gaz!
Bo cóż, że spadła któraś z gwiazd,
Gdy cała wnet eskadra pomknie na szlak.

A tych, co pozostali, trwoga nie przenika,
Radość skrzydła nam rozwija,
Nie przeraża z śmigieł krzyż.
Nigdy nie ścichnie w dali mocny głos silnika.
Lecieć, a nie dać się mijać—zawsze w zwyż.

Zawrót, korkociąg śmiały, silnika wycie,
I wyrównanie aż się zgięły kwiaty jasne.
Krąg ziemi oszalały ginie w błękicie,
Pięć części świata za ciasne!

Leć w górę znaku nasz!
Nie trzeba wcale słów.
Skrzydlaty klucz do sławy drzwi odmyka,
Orła mamy hart.
My Polski czujna straż,
Husarii dawnej huf.
Nie ścichnie nigdy w dali głos silnika,
Hej, na start!

słowa Aleksandry Zasuszanki muzykę opracował Stanisław Latwis

Prezydent R.P. i Ambasador St. Zj.



Ambasador Biddle w rozmowie z mechanikiem lotnictwa

Niedawny objazd polskich dywizjonów, okrętów wojennych i brygad, dokonany przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej wspólnie z ambasadorem Stanów Zjednoczonych panem Drexel Biddle, był jakby generalnym przeglądem tego, czego praca polskiego żołnierza zdołała dokonać na terytorium Wielkiej Brytanii w ciągu niespełna roku, w warunkach bardzo przyjaznego i szczerego poparcia przez rząd i społeczeństwo Wielkiej Brytanii, lecz jednocześnie w okresie bardzo ciężkich przeżyć dla każdego Polaka.

I oto już dziś w świetnym szeregu brytyjskich dywizjonów lotniczych znalazły się—i to bynajmniej nie na ostatnim miejscu—liczne polskie dywizjony: myśliwskie, bombowe i specjalne; obok oddziałów brytyjskich pilnują linii wybrzeża oddziały doskonałego i wypróbowanego już w bojach polskiego żołnierza lądowego wszystkich broni; wreszcie w okresie tym—mimo bojowych strat—spotężniała polska siła morska, nieustannie od września 1939 r. pełniąca swą służbę na morzach i oceanach.

A nie zapominajmy, że wkrótce, gdy już w pierwszą rocznicę pobytu w W. Brytanii wspomnimy rok ubiegły i podsumujemy naszą robotę, to okaże się, że i młodzieży z wyższym wykształceniem wojskowym przybędzie, że także myśl wojskowa polska nie próżnowała w tym okresie, że przygotowania do objęcia naszą kadrą nowych rzesz żołnierza i nowych dziedzin walki—były pracowite i skuteczne. Nie wszystko będziemy mogli oczywiście z tej mrówczej wspólnej pracy ujawnić—i być może z drugiej strony, że niejedna luka da się wykryć—jednak nie ulegają kwestii: fakt naszej prężnej odporności na przeciwieństwa losu i drugi niezaprzeczony fakt, że potrafimy pracować w sposób dyscyplinowany i zespołowy. Dowody są na dłoni dla każdego, kto umie patrzeć, kto ma okazję zapoznać się bliżej z wynikami dziś widocznymi i—co jest także ważne—z duchem i nastrojami żołnierzy.

* * *

Pan Prezydent Rzeczypospolitej—mimo cywilnego stroju—nie jest daleki od spraw wojskowych, gdyż wiele zadań i inicjatyw jego życia było, czasu wojny poprzedniej, poświęconych budowie polskiej siły zbrojnej na wschodzie, a później, po bezpośredniej służbie wojskowej — zarządowi oraz ewakuacjom stref przyfrontowych. Na szczeblach służby cywilnej stykał się on nieustannie z zagadnieniami wojskowymi, z polityką wewnętrzną obrony państwa na przykład. Nie patrzy więc na wojnę i wojsko oczami laika.

Z rozmowy, której udzielił mi Pan Prezydent podczas swego pobytu w Szkocji, szczególnie znamienne były myśli wypowiedziane przez Pana Prezydenta, a które zapamiętałem w sposób następujący:

—Zawiązanie głębokiej sympatii ze społeczeństwem szkockim jest jednocześnie i zasługą wobec Narodu Polskiego, gdyż węzły serdeczności tej noszą znamię trwałe—i są najbardziej wymownym świadectwem waloru naszych żołnierzy jako obywateli. Jest wielkie piękno w postawie naszego żołnierza wobec życia, losu, otoczenia. Jest to żołnierz świadomy swoich zadań i obowiązków. . . .

Zapytałem o wrażenia, jakie odniósł ambasador Biddle.

—Ambasador Biddle—odrzekł pan Prezydent—sam opowie panu o wrażeniach. Jest on nie tylko naszym wielkim i istotnie wnikliwym przyjacielem, lecz poza tym zna on doskonale nasze stosunki. Posiada niesłychaną pamięć ludzi i zdarzeń. Poznał np. wielu żołnierzy z Polski i Francji. Oboje z panią Biddle umieją ocenić należycie i naszą wielką pracę—i nasz żołnierski humor—w tych warunkach—i nasze trudności—i nasze zamiary. Ujęli żołnierzy swą bezpośrednią serdecznością wszędzie, gdzie się z nimi wraz ze mną zetknęli.

—Jak Pan Prezydent ocenia trudności naszego wojska—zapytałem.

—Do największych trudności należało dokonanie tego, co właśnie pokazać mogliśmy ambasadorowi—odrzekł Pan Prezydent—a teraz dzięki pomyślnemu biegowi podróży Naczelnego Wodza w Stanach—już widać nowe zadania. Jednocześnie wyłoniła się konieczność wyzyskania faktu, że sporo ludzi z natury rzeczy będzie poza wojskiem. Mam nadzieję, że uda się wyzyskać pobyt w Brytanii dla przeszkolenia fachowców i pracowników w wielu dziedzinach. Ta sprawa jest obecnie bardzo aktualna.

Zapytałem, czy Prezydent pamięta wywiad, którego udzielił mi w pewnej sprawie jako wojewoda wileński.

—O, wiele czasu upłynęło—odrzekł Prezydent—później niespodziewanie przywiązałem się nie mniej, niż do kresów wschodnich do ludu pomorskiego. Co za wspaniały lud!

—Mobilizacja tam dała doskonałe wyniki — wtrąciłem — ale kadr i broni było brak. . . .

Pan Prezydent z żalem pokiwał głową i powiedział:

—Troszczyłem się jako wojewoda pomorski o te sprawy. Miałem doskonałego naczelnika wydziału wojskowego. Wysłaliśmy szczegółowo opracowany projekt terytorialnej mobilizacji wojsk Pomorza. Musiało to być robione tam inaczej niż w reszcie kraju ze względu na położenie geograficzne! przede wszystkim—bardzo szybko. Ale pomimo mojego wysokiego stanowiska i długoletniej pracy państwowej nie otrzymałem nawet odpowiedzi na ten projekt, a potem jakoś dano do zrozumienia, że jako cywil nie nam nic do gadania.

* * *

Z panem ambasadorem Biddle miałem swój pierwszy w życiu wywiad—po angielsku. Dowiedziawszy się o tym, pan ambasodor zaczął celnie rzucać niespokojnym okiem na to, co notowałem. Ponieważ zaś natura każdego pismaka jest taka, że ma lepszą pamięć do pisowni, niż do składni, więc to, co zanotowałem, miało takie właśnie ręce, nogi i resztę, jakich sobie właśnie życzył ważący słowa i powoli je dyktujący mąż stanu. Wywiad—jak pamiętamy—był pełny serdecznego podziwu dla naszej tu pracy i postawy i jak wiadomo—poszedł na prasę i do Ameryki. Po jego przedyktowaniu i po paru uzupełnieniach, o które prosiłem, ambasador powiedział:

—I teraz, żeby pan wiedział—to nie były uprzejmości—ja naprawdę jestem dla was pełen podziwu. To, co oświadczyłem w wywiadzie, brzmi być może—jak to zawsze w oficjalnym języku—gładko. Jesteście wszyscy tak dzielni i tak sobie dajecie doskonale radę w waszych dramatycznych przejściach, że jest wielkim i głębokim przeżyciem i zaszczytem—praca z wami. Jesteśmy oboje z moją żoną waszymi przyjaciółmi . . . w całym słowa tego znaczeniu.

Opowiadał potem pan ambasador o swych wojennych przeżyciach i obserwacjach we wrześniu w Polsce, a pan Prezydent Raczkiewicz wspominał także bohaterskie walki i marsze aż po Warszawę pomorskich oddziałów, m.i. dzielnej Obrony Narodowej.

Z rozmowy odniosłem już nie wrażenie, lecz pewność, że w opinii ambasadora sprawy i zagadnienia polskie kształtują się jasno, bez wątpliwości i bardzo dla nas pomyślnie. Że są mu dobrze znane zarówno tragedie Polski okupowanej przez Niemców jak i gehenna Polaków z okupacji sowieckiej. Jestem pewien, że myśl ambasadora wybiegła już daleko na przód w kierunku przyszłego układu stosunków w świecie powojennym i że niejedno dla mnie niejasne—już jest w Stanach Zjednoczonych zdecydowane pozytywnie i stanowczo. Ambasador dał mi wrażenie, po raz pierwszy doznane w mojej praktyce dziennikarskiej, mianowicie, że zetknąłem się z ważną częścią nieznanego mi, lecz potężnego mechanizmu, który zgromadził już potężne zasoby energii i działa daleko na przedpolu mojej świadomości, lecz niewątpliwie w tym kierunku, w którym idą nasze dążenia i marzenia.

Ambasador pisze lewą ręką. Zobaczyłem to, gdy dawał autograf dla "Polski Walczącej." Uśmiechnąłem się mimo woli i z pewnym wzruszeniem: ktoś mi bliski—siostra—gra na skrzypcach również lewą ręką. Czy gra teraz?

—Serce i cała siła Stanów są z wami—tak powiedział ambasador—Generał Sikorski właśnie obecnie stawia w Ameryce na gruncie realnym sprawę i formy naszej pomocy. . . .

* * *

Już nie żyje świetny lotnik, który prowadził przed wysokimi gośćmi brawurowe szyki pościgowców dyonu imienia Kościuszki. . . .

Już może zmieniły swe miejsca postoju inne dywizjony lotników polskich. . . .

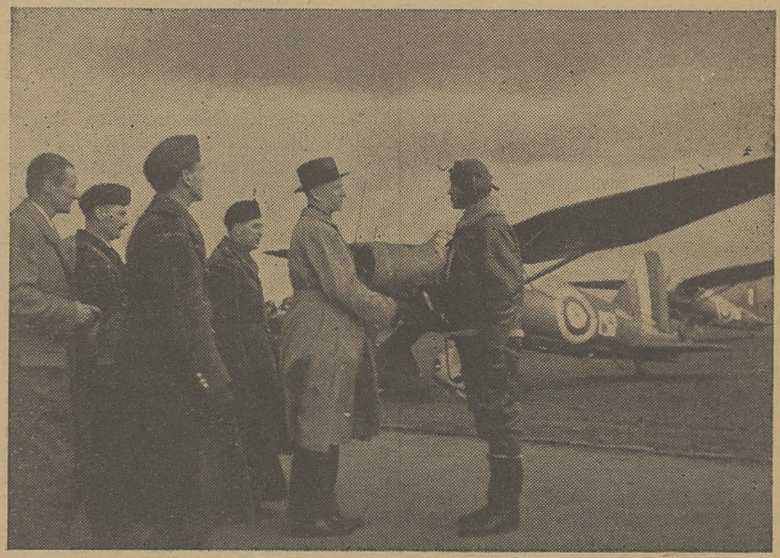
Już zapewne płyną po wodach—kipiących nawałnicą wojny i upstrzonych niczym bakteriami śmierci—minami i bombami—te okręty, któreśmy w przelocie widzieli. . . .

Już polskie brygady zapominają może o odwiedzinach, sposobiąc się do zadań nowych. . . .

Ale niech polscy strzelcy, ułani, kanonierzy, lotnicy i marynarze pamiętają tę sylwetkę—szczupłego, nieco pochylonego pana z Ameryki, w którym nie było nic z ostrożnego w słowach, chłodnego dyplomaty. Nieco trzymając się zawsze za Prezydentem Rzeczypospolitej, jakby trochę zażenowany, gotów zawsze do żywego okazania swej prawdziwej sympatii, pomocy i opieki i do pociechy wesołej i do zrozumienia nas—takim wydał mi się ambasador, wysłannik siostry naszej, wielkiej Republiki Amerykańskiej. Takim wydał się także żołnierzom, którzy się z nim zetknęli—a wyczucie żołnierskie bywa zwykle nieomylne.



Prezydent R. P. Władysław Raczkiewicz, ambasadar St. Zj. Drexel Biddle w towarzystwie pasierba ambasadora, który służy w Armii Polskiej na terenie Wielkiej Brytanii



Prezydent R. P. ściska rękę jednego z lotników (ostatni na lewo: ambasador Biddle)



Pan Prezydent wśród lotników



Poczet sztandarowy Oddziału Rozpoznawczego jednej z brygad przed frontem



Czołg ze sztandarem w defiladzie

wśród żołnierzy Armii Polskiej



Amb. Biddle z odznaką ofiarowaną przez II-gi (t.zw. "szkocki") batalion 1 Brygady Strzelców

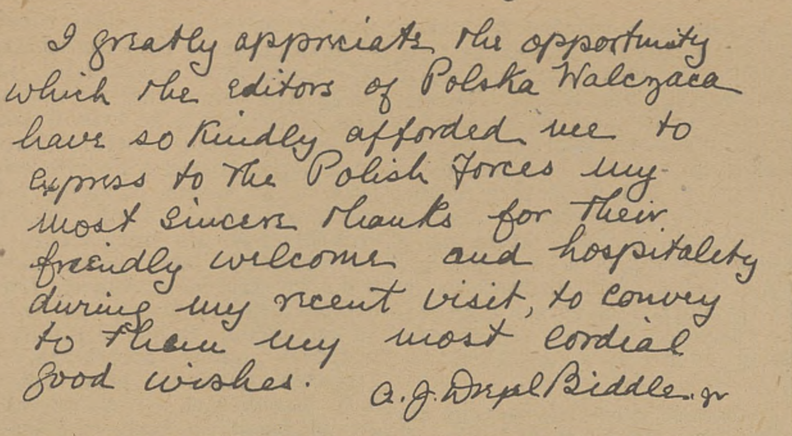
Dlatego pokazaliśmy mu wszystko, wszystko: i nasze dokonania, i nasze troski, i nasze nadzieje, i nasze zamiary.

* * *

Generał Sikorski w Stanach Zjednoczonych, zaś ambasador Biddle w jego kwaterze polowej, goszcząc przez pewien okres pobytu w Szkocji—w jednym i tym samym czasie dalej poprowadzili to, co dziesięć miesięcy temu zostało rozpoczęte: ścisłą współpracę polską ze światem anglo-saskim. Żołnierze wszystkich wojsk i broni potrafili zrozumieć i rozszerzyć swą postawą i pracą dzieło rozpoczęte przez rozmowę Sikorski-Churchill w krytycznych dniach czerwca 1940. Teraz z kolei nowe przed nami zadanie: wypełnić treścią naszą to, co zapoczątkowane zostało w kwietniu 1941, w rozmowach Sikorski-Roosevelt i w podróżach wspólnych Biddle-Raczkiewicz.

Potrafimy wykonać to, co jest postanowione, co pewnie już jest zapoczątkowane. Witamy żołnierzy polskich ze Stanów jak braci, których uzbraja i na pomoc wysyła nam nasza potężna siostra.

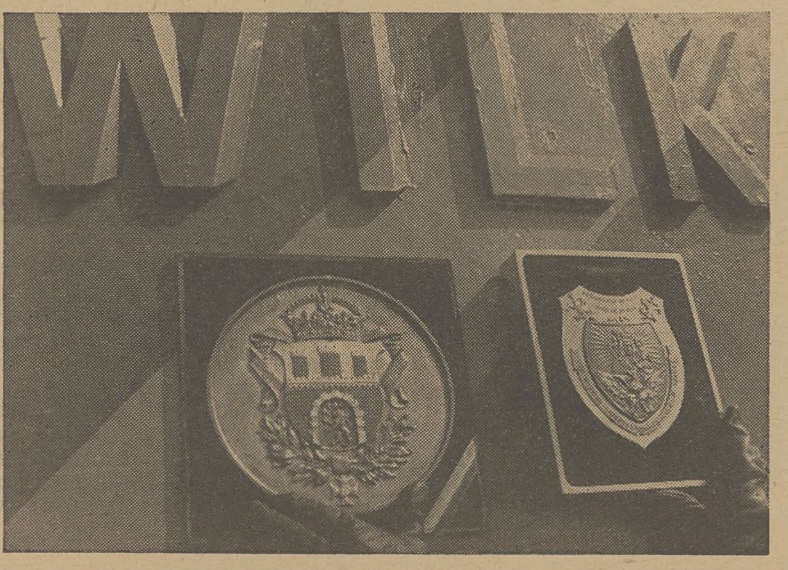
Stanisław Strumph Wojtkiewicz


I greatly appreciate the opportunity which the editors of Polska Walczaca have so kindly afforded me to express to the Polish Forces my most sincere thanks for their friendly welcome and hospitality during my recent visit, to convey to them my most cordial good wishes. A. J. Drexel Biddle, Jr

Autograf amb. D. Biddle ofiarowany naszemu pismu.

Jestem bardzo rad ze sposobności, jaką mi nastręczyła "Polska Walcząca," aby wyrazić Polskim Siłom Zbrojnym najszczerszą wdzięczność za tak przyjazne przyjęcie i gościnność w czasie moicn ostatnich odwiedzin oraz przekazać im najserdeczniejsze i najlepsze życzenia.

A. J. Drexel Biddle.



Dwie pamiątki okrętu podwodnego "Wilk": plakieta ofiarowana przez miasto Lwów i ryngraf przewieziony z Polski i przekazany marynarzom przez saperów

* * *

Był ciepły, słoneczny, choć wietrzny poranek wiosenny. W "jednym z portów Wielkiej Brytanii jeden z okrętów Rzeczypospolitej Polskiej"—sławny z czynów na Bałtyku i na Morzu Północnym—obchodził niespodziewane święto. Pomimo że na okręcie odbywały się okresowe prace konserwacyjne, odwiedzili go Prezydent Rzeczypospolitej Władysław Raczkiewicz i Ambasador Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej Drexel-Biddle.

Oficerowie i marynarze okrętu, uszeregowani wzdłuż pokładu, z widocznym zaciekawieniem spoglądali na zbliżające się do okrętu dwie wysokie sylwetki gości.

—Baczność.—Przeciągły, długi gwizd. Wąskim trapem od dziobu, muskani przez proporzec z biało-czerwonym krzyżem i ramieniem zbrojnym w szablę, goście weszli na pokład w towarzystwie zaledwie paru osób z polskim attaché morskim w Anglii na czele.

Dowódca okrętu złożył meldunek i przeprowadził Pana Prezydenta przez przedni pokład okrętu poza kiosk, gdzie z kolei zastępca dowódcy wydał komendę: "na prawo patrz" i złożył raport z załogi.

Oficerowie na prawym skrzydle, marynarze w dwuszeregu, głowy ostro zwrócone w prawo, spojrzenia proste, jasne, wierne, a na piersiach wszystkich biało-czerwone wstążeczki "Krzyża Walecznych." To nie byle jaka załoga. To załoga, która już wielokrotnie dała dowody męstwa, zimnej krwi, wytrwania i karności.

Czy to na wiele metrów pod wodą, gdy naokół wybuchały bomby głębinowe nieprzyjaciela, czy to w trudnym manewrze podwodnym na zaminowanym sektorze, gdy jedno niedopatrzenie zmęczonych do ostateczności oczu może spowodować śmierć wszystkich, czy podczas ataku torpedowego, czy w czasie minowania, czy w odpieraniu ataków rozwścieczonych piratów powietrznych, czy wreszcie w czasie długich bez końca przejść i patroli, gdy głód, chłód, zmęczenie i wieczne naprężenie nerwów złamać by mogło niejednego.

Na prawym skrzydle obok starych kolegów dwu młodziutkich podporuczników. To też "stare i doświadczone wilki podwodne." A twarze! Jakby przyszli wprost ze szkoły średniej. Chciało by się zapytać: "Koledzy byli dziś na piłce nożnej"? . . .

Ale pozory często mylą. Jeden trzymał z k.m., w szachu samolot nieprzyjacielski, gdy ten zaskoczył okręt, i umożliwił przygotowanie do manewru zanużenia, drugi . . . O prześwietna cenzuro! Ile by można jeszcze opowiedzieć o tych chłopcach serdecznych, kochanych, dzielnych i wybranych.

Toteż, gdy Pan Prezydent wita się z oficerami, przedstawionymi mu przez dowódcę, na jego twarzy widać uśmiech bardzo dobrotliwy, bardzo przyjazny i pełen serdecznego uznania.

Ambasador Drexel Biddle jest widocznie wzruszony. Ściska ręce "podwodników" i patrzy im w oczy głęboko, jakby mówiąc:—Ja i my z wami, pamiętajcie.

Prezydent Raczkiewicz przemówił do załogi. Jego głos brzmiał mocno na tle łopotania biało-czerwonej bandery na rufie, brzechtania wody o balasty i dalekich gwizdów portowych.

—Przybyłem tu do was, aby swoją obecnością podkreślić wielką rolę Polskiej Marynarki Wojennej w polskim wysiłku zbrojnym, aby odwiedzić was, którzy obok lotników, w pierwszej linii walczycie obecnie o wyzwolenie ojczyzny i nie tylko wywalczacie sławę marynarza polskiego na świecie, nie tylko czynem swoim dokumentujecie, czym Polska jest na morzu, lecz i wśród społeczeństwa polskiego wywalczacie przyszłą potęgę polskiej Marynarki Wojennej.

Przybył razem ze mną na wasz sławny okręt również i przedstawiciel wielkiej demokracji amerykańskiej pan Ambasador Drexel Biddle, wielki przyjaciel nasz—i gorący rzecznik sprawy polskiej.

Jestem rad, że jest on w możności zetknąć się z Marynarką Wojenną, która w Polsce obok wojska, spełniła już swój obowiązek podczas kampanii 1939 roku, a od tej chwili u boku sprzymierzeńców brytyjskich w dalszym ciągu, nieprzerwanie walczy na morzu." (Słowa P. Prezydenta odtworzone z pamięci).

Po przemówieniu Pana Prezydenta dowódca okrętu wzniósł okrzyk na cześć Najwyższego Zwierzchnika Polskich Sił Zbrojnych, a następnie na cześć Prezydenta Roosevelta i Stanów Zjednoczonych. Grzmot głosów marynarskich poszedł po wodzie, że zakotłowały się w powietrzu brytyjskie mewy. *Good Luck.*

Dostojni goście długo rozmawiali z marynarzami.

—O, Krzyż Walecznych,—zainteresował się pan Prezydent—gdzieście go dostali?

—Za ten nalot, panie Prezydencie—odparł rezolutnie marynarz i zaraz dodał sprawiedliwie:—ale my tu wszyscy mamy Krzyże.

—My się chyba znamy,—rzekł Prezydent do drugiego marynarza, a gdy okazało się, że tak jest, wyciągnął do niego rękę.

Marynarz stał na baczność, wpatrzony w oczy Prezydenta i powtarzał:

—Tak jest, Panie Prezydencie, tak jest, w Gdyni albo w Toruniu.



Wśród marynarzy

Prezydent się uśmiechnął,

—No,—rzekł dobrotliwie,—dajcież waszą dłoń nareszcie. Już mi ręka drętwieje.

Ambasador, gdy zeszliśmy na dół do maleńkiej messy oficerskiej okrętu podwodnego, powiedział:

—Z taką załogą, z takimi ludźmi to można iść chyba do piekła.

Jeden z oficerów uśmiechnął się, a ja odparłem:

—To też byli, ekscelencjo, w piekle nie raz i nie raz jeszcze będą. Da Bóg dojdą poprzez piekło do niepodległej i wolnej Polski.

Mr. Drexel Biddle zamyślił się i wolno powiedział:

—Tego w Stanach Zjednoczonych jesteśmy pewni.

Bohdan Pawłowicz



Pod banderą Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej



Pan Prezydent i Ambasador Stanów na polskim okręcie podwodnym na tle proporca



Poświęcenie sztandaru Oddziału Rozpoznawczego przez Biskupa Polowego Wojsk Polskich X. Józefa Gawlinę w obecności Prezydenta R. P. i Ambasadora Biddle

Pomyślność przez trud i pracę

Któregoś dnia spotkałem mego sąsiada Nika (Mikołaja) Janeskiego, gdy pracowicie naprawiał płot; robił to zawsze sam, choć podchodził już pod sześćdziesiątkę i miał kilku parobków. Pochwaliłem go za dostarczenie szkole pięknego masztu, ze sosny długiej na 70 stóp, spuszczonej przez jego parobków. Pochlebiło mu to: "O, tak. Ładny kawałek drzewa"—przyznał. Gdy się uśmiechał, na twarzy zbrązowiałej od zim Connecticut i upałów lipcowych miękkie zmarszczki drgały wokół niebieskich oczu.

Nik przybył z Polski czterdzieści lat temu z małym węzełkiem i czterema dolarami. Kiedy próbował opisać zgiełk, w jakim się znalazł po przybyciu do Ameryki, źrenice jego rozszerzały się w przestrachu, a ramiona kuliły bezradnie. Stłoczone budynki, hałas, ciżba ludzi, "odzianych, jak bogacze," a ponad wszystkim poczucie braku choćby jednego słowa angielskiego i osłupiały wzrok, wlepiony w niecierpliwie pytających.

Nosił ze sobą kartkę z adresem kuzyna Stefana Dubrowskiego, który pracował na jakiejś fermie w Connecticut i przyrzekł znaleść i jemu zajęcie. Po wielu niepomyślnych przygodach wsadzono go nareszcie do właściwego pociągu. Zmęczony był jak pies, i w przyjemnej, dusznej ciepłocie wozu zasnął głęboko. Gdy go konduktor obudził, przejechał już dwadzieścia mil poza swoją stację. Wysadzony z pociągu powlókł się piechotą.

Istnieją, być może, pustkowia gorsze, niż dolina Housatonic w późnym listopadzie, ale z pewnością nie ma od niej nic gorszego, gdy zacina zimny deszcz zwolna zamieniając się w mokry śnieg. Strome i kłaczaste wzgórza wydawały się obce, nawet przerażające człowiekowi, który całe życie spędził na równinach Polski. Zabudowania gospodarstw wyglądały olbrzymie w porównaniu z zagrodami jego rodzinnej wioski; sądził, że były to dwory szlacheckie.

Zapadająca ciemność zmusiła go do proszenia o nocleg. Czy można mieć za złe gospodyni, która otworzyła drzwi, za to, że przelękła się jego obcego wyglądu i niezrozumiałego bełkotu? Zatrzaśnięto mu drzwi przed nosem. W następnej wiosce odpędzono go również. Nawet się nie rozgniewał. Jako chłop, odczuwał, że kłopoty należą do naturalnego porządku rzeczy; właśnie ich brak byłby wręcz zadziwiający.

Powlókł się dalej gościńcem. Mokry śnieg zaczął mu zamarzać na odzieży. W następnej, napotkanej wiosce nie próbował dostać się do domu, lecz zaszedł z tyłu. Napotkał niską budę, świński chlew. Wczołgał się do wnętrza. Nareszcie coś znajomego w tym obcym kraju. Prosiaki znał: "Gadałem do nich . . . rozumiały . . . na pewno." W każdym razie nie kwiczały i nie odpędzały go. Cały dzień nie miał nic w ustach. Posilił się kłosem zboża, który uszedł uwagi wieprzków i wcisnął się między nie dla ciepła. O brzasku był znów na gościńcu.

Ale zmartwienia dopiero się zaczęły. Znalazł gospodarstwo według adresu Stefana, lecz jego samego nie było, odszedł do fabryk w Bridgeport, lub Ansonii, nikt dobrze nie wiedział, gdzie. Tak przynajmniej mówił Władek, inny Polak, tam zatrudniony. Dla Nika pracy nie było. Gospodarz zezwolił na przespanie kilku nocy w stodole i dał mu bochenek chleba oraz trochę innego pożywienia. Zdaje się, że ten bochenek chleba utkwił w pamięci Nika mocniej, niż wszelkie zgryzoty. To był biały chleb, "taki, jaki jadają bogaci w moim kraju"—opowiada, ciągle jeszcze z zachwytem po tylu latach.

Zima była już w pełni. Gospodarz nie odmówił Nikowi prawa pozostania w stodole. Z rąk Władka i innych Polaków otrzymywał dość pożywienia, by zachować siły. Co dzień przemierzał drogi w poszukiwaniu pracy. Bez wątpienia często tęsknił rozpaczliwie za domem i nieraz zakłuły go szorstkie docinki: "Znowu przychodzi ten przeklęty Polak," jednak wkrótce ludzie go polubili.

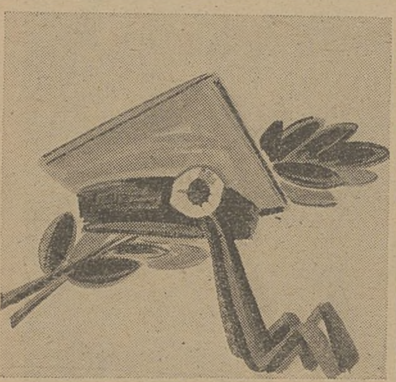
Przychodził wcześnie rano i kłaniając się nisko, z nieśmiałym, a skwapliwym uśmiechem, wyrzucał z siebie triumfalnie kilka słów angielskich, które zapamiętał: "*Is work to-day?*" Nieraz znalazła się praca, najczęściej przypadkowy zrąb drzewa na opał. Obracał wytrwale siekierą i nikt w okolicy nie potrafił w ciągu dnia naciąć i ułożyć tyle drzewa. Jedna rzecz zdumiała go. Opodal w dolinie Polak posiadał własne gospodarstwo, piędzięsięcioakrowe! Nik podniecony często wracał myślą do tej zdumiewającej sprawy.

Na wiosnę uzyskał stałe zajęcie u Lathana Basseta, na farmie w głównej dolinie. Basset i żona mocno posunęli się w latach i z trudem utrzymywali dziedzictwo, które od pięciu pokoleń przechodziło z ojca na syna. Dom, dotąd piękny, zbudowany w szlachetnym stylu Nowej Anglii, zapadał się, niszczał w zaniedbaniu. Nik pracował u Bassetów w dni powszednie i święta, od piątej rano do siódmej wieczór. Nie przychodziło mu na myśl żalić się, choćby przed sobą samym; taki już los, tak samo pracują chłopi w Polsce. W swej ciężkiej pracy miał obecnie cel, odkąd ujrzał owe 50 akrów polskiego gospodarza. Z osiemnasto-dolarowej płacy miesięcznej oszczędzał surowo każdy cent. Tak przepracował u Basseta cztery lata, poczem wzniósł się na drabinie o jeden szczebel w górę.

Część posiadłości Basseta, licząca 30 akrów leżała poniżej gościńca, oddzielona od reszty gruntu. Licha to była ziemia: tyle tam było głazów, ile rodzynek w puddingu. Basset za małą wpłatą i zobowiązaniem spłat chętnie ją odsprzedał Nikowi, wraz z półtuzinem co młodszego bydła. Na posiadłości stała też zaciekająca stodoła i jednoizbowa chałupa. Nik wezwał z Polski Annę, swoją narzeczoną. Sądząc z fotografii ślubnej, którą mi z dumą pokazał, była to młoda, zacięta, pełna uroku dziewczyna, w której olbrzymich oczach błyszczała wesołość. Wdzięk ten po dziś dzień uderza u starej Pani Janeskiej.

Wówczas, w pierwszym roku nie wiele było okazji do radości. W dwa tygodnie po przybyciu poszła Anna w pole, dźwigając na mocnych ramionach drąg żelazny do karczowania nieużytku pod zagon ziemniaczany. Nik łatał dach stodoły. Nagle posłyszała wstrząsający krzyk, urywany dźwięk osuwającego się ciała i ciężki, głuchy odgłos. Gdy dobiegła do Nika, leżał z twarzą skurczoną z bólu i złamaną nogą.

Przeminęło osiem tygodni, zanim mógł znowu pracować,—i to w sezonie orki, kiedy polnej roboty w gospodarstwie było coniemiara. Nie mogę wam opowiedzieć, jak Anna dała sobie radę ze wszystkim, wiem tylko, że była w polu z pierwszą smugą świtu i harowała długo, nieraz w świetle księżyca. Aby uiścić pierwszą ratę spłat, sprzedali dwoje bydląt, szczęśliwi, że nie tracą ziemi.



Przeminęły lata, jeden dzień podobien drugiemu, twardy trud, niekończąca się praca,—od świtu do zmierzchu. Ramię w ramię, w bruzdach łanów zbożowych, w grzędach kapusty, przy udoju, przy sianokosach — wyłamywali się od czasu do czasu z kieratu zajęć, by spotkać innych Polaków przy tańcach i zabawie. Sklep wiejski nie wiele na nich zarabiał. Ziemniaki i kapusta, kapusta i ziemniaki—nigdy nie pomyśleli o zjedzeniu tego, co dało się sprzedać. Mleko, cielęta, jajka szły na targ.

Mieli lata złe i dobre. Jednego roku gruźlica opadła stado, a inspektor zastrzelił trzy najlepsze dójki. Innym razem sąsiad odstąpił tanio Nikowi rasową krowę, ponieważ była chora; Nik doprowadził ją do zdrowia i sprzedał za czterysta dolarów. W tymże roku naturalizował się. Spłacał stopniowo raty i zaczął składać pieniądze w banku.

Kamieniem milowym w karierze Nika był dzień, w którym przejął na własność osadę Basseta. Stare stadło ostatecznie zaniechało gospodarowania i zamieszkało z synem w Ohio. Duchy Bassetów z XVIII-go wieku zapewne zatrzęsły się ze zgrozy, widząc liche statki gospodarskie w doskonale rozplanowanych, starych pokojach. Rodzina Janeskich żyła głównie w kuchni.

Przeniesienie nie wprowadziło zmian w ich poziomie życia, pracowali ciężej, niż dawniej, mimo, że mieli najemników i dzieci do pomocy. Gotówki nigdy nie było za dużo. "Kiedy wpływa jeden penny, już widać że jakiś wydatek czeka na niego." Zdarzały się też liczne niepowodzenia. Piorun uderzył w główną stodołę i cała poszła z dymem, z zapasem siana na zimę. Nik próbował uratować inwentarz, lecz sześć krów zginęło w oborze.

Mimo to rok po roku rodzina porastała w pierze. Nik lubił od czasu do czasu stanąć na podwórzu i, to patrzeć wokół na zabudowania, to uważnie przyglądać się stadu, kroczącemu gęsiego na długą łąkę, do udoju na godzinę szóstą. Miał wówczas w oczach wyraz dziecięcego zachwytu.

Dziś Nik posiada 250 akrów ziemi czystej i niezadłużonej. Jego gumna i mleczarnia są najnowocześniejsze, obora z 60 sztuk złożona najlepsza w okolicy. Nik jest człowiekiem poważanym w gminie. Dom już nie jest rupieciarnią i nawet duchy Bassetów łaskawie aprobowałyby sposób, w jaki synowa Anny urządziła wnętrza. Z synów Nika najstarszy poszedł do Danbury, gdzie posiada i prowadzi jeden z najlepszych garaży. Drugi syn jest cenionym w okolicy instalatorem, mając za wspólnika młodszego brata, ożenionego z córką starej rodziny amerykańskiej.

Rodzina Janeskich wrosła solidnie w tę społeczność, choć nie było to rzeczą łatwą. Stare rody Yankesów nadal przewodzą w gminie i ciężko im przychodzi uznać rodzinę imigrancką za równą. Mimo to ostaniego roku Stefan, drugi syn Nika, był jednym z radnych gminy. Obserwowano go pilnie, ogólnie przepowiadając, że zapewne listę płatniczą rady wypełni Polakami. Nie zrobił tego i przesłużył swój okres ku zadowoleniu współobywateli.

Do pewnego stopnia Nik jest nadal polskim chłopem, zwłaszcza w swej filozofii życiowej, że to troski raczej, niż radości są udziałem człowieka. Okazało się to w jego postawie wobec wojny. Kiedy machina Hitlera darła Polskę na strzępy, Nik był strapiony, ale nie zdumiony. Biedy, cierpienia i śmierć—oto przyrodzony bieg spraw, z wyłączeniem tego zadziwiającego kraju USA. Dość będzie czasu na dziwienie się, gdy zdarzy się dobry obrót losu.

Często w rozmowie z wami Nik nagle przerwie w środku zdania, spojrzy wstydliwie, wyda coś w rodzaju zadowolonego, stłumionego chichotu i ciągnie dalej. Chichot ten nie jest bynajmniej wyrazem dumy z osiągnięć. W jego opinii synowie dokonali znacznie więcej, niż on sam. Nie widzi nic nadzwyczajnego w swoim rekordzie wytrwałości, pomysłowości i niekończącego się trudu. Tak pracują chłopi w Polsce, tylko że z pracy tej nie mają nic, prócz skąpego i niepewnego wyżywienia. Gdy tymczasem tu. . . .

Nik rozmyśla nad dobrobytem, jaki zdobył. Nie idzie wyłącznie o zdobycze materialne, ważniejsza jest jego pozycja w społeczności, jego prawo do istnienia, jako wolnego i równouprawnionego obywatela tego kraju. Nik prowadzi swój wóz w stronę miasta. Widzi imiona Mr. i Mrs. Mikołajostwa Janeskich wyryte, jako patronów miejscowej wystawy sztuki, zorganizowanej przez letników. Trudno mu ukryć zadowolone zdziwienie, że może być kraj, gdzie coś takiego zdarza się człowiekowi. Nik drga od cichego chichotu.

Hitler powiedział, że ten kraj rozpadnie się z powodu podziałów i napięć pomiędzy różnymi klasami i rasami, z jakich jest złożony. Kiedy obserwujecie Nika i jego amerykańskie dzieci, kiedy widzicie, jak oni sami wbudowują się w tę społeczność, dochodzicie do przekonania, że Hitler jest w błędzie. Jeśli by Stany Zjednoczone miały kiedykolwiek się rozpaść, to chyba tylko wówczas, gdy wnuki Nika i ci, z tubylczego pnia zrodzeni, opuszczą ręce, sądząc, że pomyślność rodzi się sama przez się, a nie, że tworzy ją trud i odwaga Nika i jemu podobnych.

Edwin Muller

przełożył Antoni Mamrot

Artykuł "*Peasant-s Progress*" z "*Chronicles of Americanization,*" (przedrukowany w "*Readers Digest*"). Daje on w zwięzłym opisie piękny przykład uczciwej kariery chłopa polskiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej.

"The Polish immigration in the United States is but a vigorous branch of an old—thank God, a powerful—tree. The Poles in America are more numerous than the Norwegians in Norway, Danes in Denmark, and Swedes in Sweden. They are more numerous than Serbs in Serbia, Belgians in Belgium—all small nations. There are over four millions of them in this country.

The Poles in America are hard-working people, contributing by their efficient and conscientious labour to the development of natural resources and to the progress of industry and growth of American prosperity. They are not rich, they are just making their honest living. Out of four millions of them not one is a millionaire, and yet they are fulfilling their duty imposed upon them by circumstances with loyalty, determination and enthusiasm."

"Kolonia polska w Stanach Zjednoczonych jest tylko silną gałęzią starego—chwalić Boga—potężnego drzewa. Polacy w Ameryce są liczniejsi od Norwegów w Norwegii, Duńczyków w Danii i Szwedów w Szwecji. Są liczniejsi od Serbów w Serbii, Belgów w Belgii—od wszystkich małych narodów. Jest ich ponad cztery miliony w tym kraju.

Polacy w Ameryce są ludźmi ciężko pracującymi, przyczyniają się oni przez swoją wydajną i sumienną pracę do rozwoju naturalnych bogactw i do postępu w przemyśle i wzrastania dobrobytu amerykańskiego. Nie są oni bogaci, zarabiają akurat na swe rzetelne życie. Pośród tych czterech milionów nie ma ani jednego milionera a jednak spełniają oni obowiązek, nałożony na nich przez okoliczności z lojalnością, siłą i entuzjazmem."

Ignacy Paderewski

Z Polonii Chicagowskiej

Czym jest Rzym dla katolików, czym Mekka dla mahometan, tym Chicago dla Polonii Amerykańskiej. Wprawdzie żyją też Polacy w większym skupisku w Nowym Yorku, w Pittsburgu, Detroit, Filadelfia, Buffalo, i wielu innych miastach Stanów Zjednoczonych, najliczniejszym jednakże ośrodkiem jest Chicago i okolica. Bo trzeba nam wiedzieć, że Chicago jest największym polskim miastem po Warszawie. W Chicago zaś centralnym punktem dla Polonii jest restauracja Państwa Lehnardów.

Jest też sporo znanych polskich lokali w innych miastach w Stanach Zjednoczonych, tej jednak popularności i tego znaczenia, co Lehnard w Chicago nie potrafiła się żadna z nich dorobić. Nie przez swoją okazałość i wystawność albo elegancję, ale prawdziwie polską gościnnością i serdecznością Państwa Lehnardów, stała się tym czym jest—sercem Chicago. Dla Polaków ze Stanów, a nawet dla każdego przybywającego Polaka z Europy do stolicy polskiej w Stanach Zjednoczonych, jest rzeczą wprost nie do pomyślenia, by będąc w Chicago, chociażby na chwilę nie wstąpił do Lehnardów.

Życie tam wre od rana do rana, prawdziwie jakgdyby na jakiejś giełdzie. Przychodzi tam pan Sikora sławny speaker chicagowskiej radiostacji X Y Z o zasięgu 200 mil wkoło, po swej ciężkiej pracy, którą właśnie ukończył—na sniadanie. A przecież to nie łatwo już od wczesnego rana wszystkie Polki przygotowujące śniadanie swym mężom nowościami z całego świata nasycić. A muszą one być bardzo ciekawe, ażeby te ogłoszenia, które wszmuglowuje pomiędzy nowości, były przez gosposie wysłuchane, bo wtedy najlepiej się one opłacają. Przyjął się taki zwyczaj w Ameryce, że gospodynie idąc na zakupy wstępują na ranne spotkanie choć króciutkie tylko do Lehnarda po najnowsze wiadomości, których przez radio się nie słyszy.

Kiedy 11 dochodzi, zjawiają się panowie redaktorzy z miejscowych pism na śniadanie. Bo właśnie ukończyli swoją robotę redakcyjną i wykorzystują czas, kiedy maszyny drukują gazety. Ciekawe tam odbywają się dyskusje pomiędzy nimi, bo trzeba nam wiedzieć, że w Ameryce pismo, ażeby było czytane musi być jeszcze ciekawiej napisane od naszych kontynentalnych, a więc redaktorzy muszą być kuci na wszystkie cztery nogi i znać się nie tylko na swoim rzemiośle, ale też muszą być wytrawnymi społecznikami.

Szczególnie ciekawi są goście w porze obiadowej. Są to poza stałymi bywalcami przeważnie przejezdni. Tu spotykają się prezesi licznych towarzystw z okolicy, i omawiają ważne sprawy społeczne. Pod wieczór schodzą się powoli stali goście wieczorni, na posiłek przed długimi zebraniami, które zazwyczaj kończą się grami towarzyskimi w ich klubach.

Przed północą u Lehnarda rozpoczyna się ruch, huczy jak w ulu. Goście wracają z zebrań na kolację, która przewleka się z powodu dyskusji politycznych prawie do rana. Godziny policyjnej w Ameryce nie znają. Ogólnie jest znane w Chicago, że drzwi restauracji Lehnardów od lat nie były zamknięte. Przy otwarciu lokalu, klucz został uroczyście przez pana Lehnarda przy licznej asyście gości rzucony do rzeki.

Dziwny to może temat, który z mojej podróży po Stanach Zjednoczonych wybrałem. Pomyśli ktoś, że innych ciekawszych może nie miałem. Oj tak dużo przeżyć może na pozór ciekawszych ale to tylko na pozór, bo fragment "lokalu Lehnardów," wywarł na mnie dlatego tak głębokie wrażenie, że on dowodzi demokratycznego nastawienia Polonii amerykańskiej. Przecież u Lehnardów spotykają się wszyscy Polacy bez różnicy zawodów, wyznań i przekonań politycznych. Tam są robotnicy, aktorzy, urzędnicy, kupcy, redaktorzy, sędziowie, lekarze, adwokaci, bogaci i ubodzy. Nikomu nawet na myśl nie przyjdzie czymkolwiek się urazić, tam dyskutują o wszystkim, a przede wszystkim o Kraju, o Ojczyźnie swojej, za którą tak bardzo tęsknią. Nie razi ich skromność lokalu, ona to taka, jakimi są nasi Rodacy w Ameryce. Nie ma u nich pychy, ani wybredności, jaka u nas niestety istniała.

Arka Bożek

Wychodźstwo pracy i walki

DWIE EMIGRACJE — ZAROBKOWA I POLITYCZNA

W r. 1860 było w Ameryce 30.000 Polaków, 10 zorganizowanych osad,

W r. 1870 było w Ameryce 50.000 Polaków, 20 zorganizowanych osad,

W r. 1875 było w Ameryce 200.000 Polaków, 300 zorganizowanych osad,

W r. 1890 było w Ameryce 1.000.000 Polaków.

W r. 1910 było ich w Ameryce 3.000.000.

W r. 1914 4.000.000, 800 parafii, 530 szkół.

W tych kilku cyfrach zawarty jest obraz niebywałego w dziejach emigracji rozrostu Polonii Amerykańskiej. Ta olbrzymia wędrówka za chlebem i pracą, ta wielka emigracja gospodarcza obejmowała w zasadniczym swym zrębie proletariat rolny. Był to ciąg pokolenia "bandosów," byli to małorolni i bezrolni, których wadliwa struktura własności ziemskiej w Polsce skazywała na poniewierkę.

Na gruncie amerykańskim zetknęli się oni z niedobitkami pierwszej fali wychodźstwa politycznego. Od konfederatów barskich, poprzez żołnierzy wojska kościuszkowskiego, legionów Dąbrowskiego do powstańców z r. 1831 i 1863 narastały tu poszczególne warstwy emigracji politycznej. Jak jednak słusznie zauważył Wacław Gąsiorowski, autor najlepszego przekroju publicystyczno-socjologicznego o naszym wychodźstwie—te dwie historie wychodźstwa nie wykazują właściwie "żadnej ciągłości." "Ten sam pień, konary jednak w odmienne skierowane strony, pierwsze dawno murszem starości okryte, drugie grające sokami."

CIERNISTA DROGA DO DOBROBYTU

To pokolenie chłopów pomorskich i poznańskich po r. 1870, a później jeszcze bardziej masowy ruch biedoty małorolnej Galicji i Kongresówki na przełomie XIX i XX wieku, musiało przejść całe piekło poniżeń i upokorzeń, walki zaciętej o życiowe podstawy swej egzystencji, zanim zdołało się wżyć i wrosnąć w daleki i obcy świat kultury anglo-saskiej. Byli w tej wędrówce sami i opuszczeni, zdani jeno na własne siły. Zarabiał na nich jeszcze we wsi rodzinnej agent-pośrednik, zarabiały na ich transporcie firmy przewozowe Bremy czy Hamburga.

Na bruku amerykańskim nie mieli oparcia. Ani w konsulatach, ani w organizacjach, jakie stały do dyspozycji szczęśliwszych narodów o własnej państwowości, Włochów, Niemców, czy Irlandczyków. Bez znajomości języka, bez przygotowania fachowego do pracy w przemyśle, tu właśnie, może bardziej niż w kraju, ujawniły się te wszystkie wartościowe cechy polskiego chłopa, które w oczach niesklonnego do uniesień kapitalisty amerykańskiego, czyniły go pracownikiem pierwszorzędnym i bezkonkurencyjnym zarówno na roli, jak w przemyśle. Jakże bowiem mogło być inaczej, skoro n.p. w dolinie rzeki Connecticut Yankesi osiadli tam od pokoleń porzucili jałową rolę, a polscy farmerzy potrafili stworzyć jeden z najżyźniejszych zakątków. Chłop polski po raz pierwszy w ciągu swej historii ujrzał tu możliwość dorobienia się, wzbogacenia. Jego pęd do "hauzów," do "property" był dążeniem tak żywiołowym i potężnym, że już oficjalna statystyka z r. 1920 wykazywała, że Polacy mieli 175.855 domów o wartości 474.693.000 dolarów.

* Wacław Gąsiorowski: Ach,—te "chamy" w Ameryce! Warszawa 1935.



Podobizna dyplomu wystawionego emigrantowi—chłopu z Małopolski—za dar na akcję narodową

WZMOŻONA SAMOWIEDZA POLSKOŚCI

Ale ten samorzutny pęd do przyswajania sobie zdobyczy materialnych cywilizacji, pęd najzupełniej zrozumiały, jeśli się zważy wieki całkowitego zaniedbania i nędzy gospodarczej, nie był bynajmniej równoznaczny z rozpłynięciem się w morzu anglo-saskim. Nie oznaczał on wcale zatraty poczucia odrębności narodowej. Wręcz przeciwnie. Tutaj właśnie nastąpiło jej rozżarzenie się i rozpłomienienie. Było by to zjawisko po części wytłómaczalne, gdyby to wychodźstwo ulegało zwolna przyciąganiu kultury świata anglo-saskiego. Wszak w kraju było ono pokoleniem wydziedziczonym, żyło na marginesie bytowania narodu, albo i poza nim. Tutaj pierwszy raz w demokratycznej strukturze, poczuło się cząstką pełnowartościową. Wyleczyło się z poczucia niższości klasowej, a nabrało poczucia równości. Historyk tego wychodźstwa zapisze pewno kiedyś w bilansie jego największych zasług tę okoliczność, że oparło się ono w masie swojej sile przyciągającej kultury amerykańskiej, że nie zapomniało o swej polskości.

Ta walka o polskość wychodźstwa nie była bynajmniej ani krótka, ani łatwa. Była to najpierw walka "o pacierz polski z Irlandczykami." To półwiekowe wojowanie z "ajryszami," z jego niechętną hierarchią kościelną, jakże to dramatyczny okres historii wychodźstwa.

W tej walce o prawo języka ojczystego w kościele zahartował się żywioł polski. Jego świadomość narodowa zaczęła się niebawem podsycać ucieczką do przeszłości historycznej narodu. Może to zakrawa na paradoks, ale nie mniej jest faktem, że ten chłop-wychodźca, wyjeżdżający z kraju ze słabym poczuciem narodowościowym, tu w Ameryce w pełni uświadamiał sobie swą polskość. Uroczystości ku czci Kościuszki i Pułaskiego ukazywały mu związek z historią narodu. "Nigdzie bodaj—jak słusznie zauważa Gąsiorowski—w żadnej gromadzie polskiej nie było takiej chciwości do rocznic, do wypominków, do solennego z przeszłością obcowania, jako na wychodźstwie amerykańskim."

TRWAŁY ZWIĄZEK Z GRUPĄ MACIERZYSTĄ I Z KRAJEM

Chłop przyswajając sobie wszystkie zewnętrzne, materialne zdobycze cywilizacji — strój, mieszkanie i t.p.—w obyczajowości i umysłowości pozostawał dalej chłopem polskim. Najpełniejszym wyrazem tego stawał się fakt, że zaczął wszędzie w miastach tworzyć własne skupiska polskie. Te miasta w miastach, te polskie zamknięte skupienia były tymi okopami, na których załamywał się atak prężnej, równającej i usiłującej podporządkować sobie emigranta kultury amerykańskiej.

Autorka ciekawego studium socjologicznego "Wieś małopolska a emigracja amerykańska, studium wsi Babica powiatu rzeszowskiego"—Krystyna Duda-Dziewierz cytuje znamienny pod tym względem list emigranta: "*To jest tutaj dobrze, że prawie tutaj sami Polacy i na około sama Polonia. Widziałem tu wszystkich Babiczaków. Wszyscy mieszkają blisko mnie. Więc tutaj jest teraz druga Babica.*" Te wszelakie Babice amerykańskie to były rzeczywiste twierdze polskości, one tworzyły działaczy, dawały podstawy egzystencji polskim zawodom wolnym, umożliwiały byt szkoły, parafii, towarzystw i prasy, a przede wszystkim wiązały uczuciowo z dawną grupą społeczną, z wsią, a przez nią zaś z krajem, z Polską.

ROZEJŚCIA SIĘ I NIEPOROZUMIENIA

Ale największe niebezpieczeństwo w walce o polskość wyrosło nie przed pierwszym i drugim pokoleniem wychodźstwa, którego cała energia życiowa wyładowała się w walce o byt. Wyrasta ono teraz przed pokoleniem młodzieży zrodzonej już w Ameryce, przed pokoleniem inteligencji polsko-amerykańskiej. Pierwszemu i drugiemu pokoleniu wychodźstwa mogły imponować zdobycze cywilizacji materialnej Ameryki. Pokoleniu trzeciemu, nie mającemu już tradycji ani uczuciowego ani umysłowego związku z krajem zaczyna może imponować kultura duchowa Ameryki, może ono lgnąć do książki i do sztuki angielskiej. Mało robiliśmy, by temu przeciwdziałać. Wiele tu do odrobienia i dziś i jutro.

Postawa nielicznych przedstawicieli kultury polskiej, jacy odwiedzali Amerykę, też nie była ani właściwa, ani słuszna. Nie uświadamiali oni sobie należycie okoliczności, że nowe pokolenie wychowane w angielskiej szkole i uniwersytecie ma już bardzo luźny związek z życiem duchowym macierzy. Może dziś przymusowy pobyt uczonych polskich w Stanach odrobi niejedną zaległość w tym względzie.

Ale musimy pamiętać o tym dobrze i nieustannie, że olbrzymia, stale okazywana ofiarność wychodźstwa polskiego w Ameryce, szła często i na cele kulturalne. Korzystało z niej w XIX wieku Muzeum Rapperswilskie. Zapisało się ono wzruszającym legatem robotnika Giedymina na cele Uniwersytetu Jagiellońskiego.

SIŁA GOSPODARCZA I LUDNOŚCIOWA

Ale zagadnienia umysłowe, kulturalne stanowią znikomy problem w porównaniu z ciężarem gatunkowym wagi gospodarczej i ludnościowej wychodźstwa.

Potencjał ludnościowy zaważył na tworzeniu armii polskiej w wojnie światowej. Mniej niestety zaznaczyły się w życiu polskim lat 1918-1939 wielkie siły gospodarcze i kapitały wychodźstwa. Reemigranci, wracający do Polski, stawali się wprawdzie najczęściej przodownikami w zakresie podniesienia stopy życia materialnego, wnosili ducha przedsiębiorczości, rzutkości i ruchliwości.

Ale zaciążywszy na zmianie oblicza poszczególnych osiedli, mało niestety, ku szkodzie zarówno kraju jak i własnej, zaznaczyli się w życiu ogólnym narodu. Byli liczebnie zbyt słabi, i nie potrafili przeobrazić zacofanej budowy gospodarczej kraju. Złożył się na to zawiły splot przyczyn, mających swe źródło w ukształtowaniu życia gospodarczego odrodzonej Polski, w którym dewaluacja pieniądza odegrała najgorszą rolę. Pochłonęła ona wiele krwawych oszczędności, zniechęciła do Polski wielu najlepszych, najdzielniejszych jej synów.

NADZIEJA TOCZĄCEJ SIĘ WALKI O POLSKĘ I O ŚWIAT

Dziś, podobnie jak w tamtej wojnie, nadzieje całego kraju i emigracji biegną ku Polonii amerykańskiej. Wizyta Naczelnego Wodza i Premiera Rządu, Generała Władysława Sikorskiego i wiceprezesa Rady Narodowej Stanisława Mikołajczyka, jest najlepszym dowodem jak wielkie nadzieje i oczekiwania wiążemy wszyscy z Polonią. Zawsze tak składało się w dziejach ostatnich lat, że wielcy pobudziciele energii narodowej kierowali swój wzrok ku Polonii Amerykańskiej. Tam szukał pomocy w r. 1900 twórca Skarbu Narodowego Zygmunt Miłkowski, tam znalazł oparcie dla swych zamierzeń w r. 1917 Ignacy Paderewski, tam kierują się ludzie, prowadzący dzisiejszą walkę o Polskę i polskość.

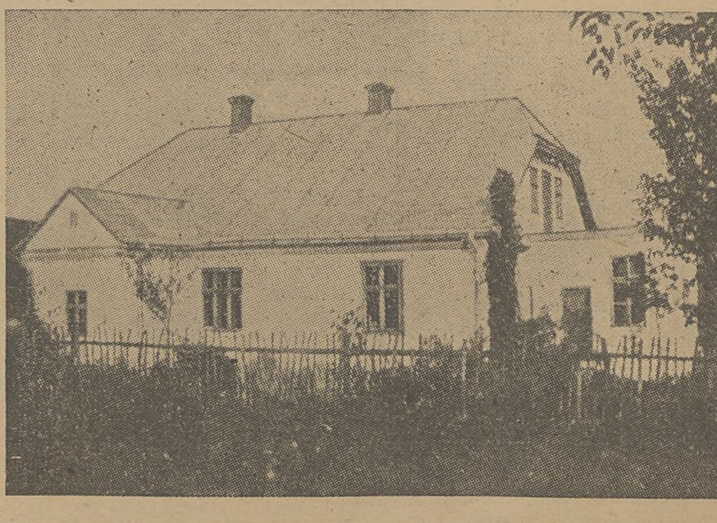
Od postawy, jaką zajmie w tej chwili wychodźstwo polskie w Ameryce zależy nie tylko siła armii polskiej, ale także w dużej mierze odbudowa życia gospodarczego kraju po wojnie. Wojna zaś obecna jest w tej chwili już nie tylko walką o los tej ziemi, na której zrodziło się pierwsze i drugie pokolenie wychodźstwa—o los Polski—ale jest co raz więcej walką o swobodne prawo życia ziemi, na której zrodziło się trzecie pokolenie wychodźstwa—o Stany Zjednoczone.

Im prędzej uświadomi ono sobie tę prawdę i wszystkie następstwa, jakie z niej wynikają, tym lepiej dla niego i dla nas.

Adam Ordęga



Dom emigranta przed wyjazdem do Ameryki



Dom tego samego emigranta po powrocie do Polski

(*Wszystkie ilustracje na tej stronie pochodzą z książki Krystyny Duda-Dziewierz: "Wieś małopolska a emigracja amerykańska," Warszawa—Poznań 1938*)

Polonia w Ameryce a przyszła Polska

Przedwczesne i trudne wydaje się dzisiaj mówienie o tym, co będzie po wojnie. Jeszcze walka trwa w całej pełni, jeszcze nie doszła do punktu zwrotnego; zasięg wojny staje się co raz większy, a pożar, wzniecony przez Niemcy, ogarnia co raz to nowe kraje i nowe kontynenty. Nie wiemy kiedy i nie wiemy, jak skończy się ta wojna, niepodobna do żadnej z poprzednich.

Nie mamy, nie możemy mieć wątpliwości co do jednego tylko: Niemcy nie zwyciężą. Żywioły zła i zniszczenia, które świadomie rozpętali, zwrócą się przeciwko nim samym. Człowiek zawsze musiał ciężko i krwawo walczyć o urzeczywistnienie swych najlepszych dążeń—jak człowiek pierwotny z trudem zdobywał ogień, by mieć ciepło i światło, tak człowiek cywilizowany z trudem osiąga sprawiedliwość i wolność. Musi je stale pielęgnować by nie zagasły, musi ich bronić przeciwko złym siłom gwałtu i niewoli.

W tym wielkim momencie historycznym przeżywamy gigantyczne zmagania się narodu o instynktach zbójeckich i krwiożerczych, który je uzbroił we wszystkie narzędzia techniki nowoczesnej, z narodami miłującymi wolność i pragnącymi oddawać się w pokoju godziwej pracy twórczej. Napastnik, ożywiony złą wolą, przygotowany od lat do dokonania napaści, musiał mieć w pierwszym okresie wojny przewagę nad narodami pokojowo usposobionymi i za nadto łatwowiernymi w stosunku do swego obecnego wroga. Ale oto dwie wielkie demokracje świata. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone, złączyły już wszystkie swe siły polityczne i gospodarcze, a także wojskowe, by przeciwstawić się nieubłaganie dalszemu pochodowi barbarzyńców, a podbite narody europejskie z Polską na czele w miarę możności—walczą u ich boku lub we własnych krajach przygotowują się do dnia wyzwolenia.

To wyzwolenie przyjdzie. Wojna może potrwać jeszcze czas dłuższy, ale zwycięstwo demokracji zbliża się z każdym tygodniem, pomimo ciężkich przejść i zawodów, jakich wszyscy doznajemy.

Polacy nigdy nie zwątpili. To też dzisiaj, wśród pożogi wojennej, kiedy jeszcze nie widzimy wyraźnie jutrzni pokoju ani tego gościńca, który ma nas zaprowadzić z powrotem do kraju, myśl nasza nieustannie pracuje nie tyle nad odgadnieniem przyszłości—odgadywanie było by wysiłkiem bezpłodnym—ile nad jej przygotowaniem.

Staje przed naszymi oczyma Polska wyniszczona. Miasta i wsie poburzone i popalone; koleje, szosy, mosty poniszczone; fabryki i warsztaty opuszczone albo przez Niemców i bolszewików zdemontowane i wywiezione. Ludność polska powypędzana ze swych domostw, wywieziona do niewoli czy na roboty przymusowe do Niemiec, wygnana gdzieś w głąb Rosji; wojsko walczące w różnych krajach, przymusowa emigracja wojenna rozsypana po całej kuli ziemskiej. Tysiące, wielkie tysiące zabitych w walkach, rozstrzelanych przez Gestapo i G.P.U., wymarłych z głodu i chłodu, zamęczonych w obozach i na ciężkich robotach. Szkoły zamknięte, młodzież wyniszczona fizycznie, zaniedbana duchowo. Powszechne, bezgraniczne zubożenie.

Te ruiny musimy odbudować. Te straty musimy odrobić. Głodnych nakarmić, obdartych przyodziać, warsztaty na wsi i w mieście w ruch puścić, komunikacje z powrotem uruchomić i ulepszyć, z Gdyni i Gdańska okręty pod flagą polską na świat cały z towarami i po towary rozesłać, sieć ulepszonych szkół założyć, rolnictwo podnieść, przemysł rozbudować i ożywić, a wszystko dostosować do nowych warunków.

Zadanie to olbrzymie. Wymagać będzie nie tylko wielkich i mocnych głów, które by ułożyły mądry plan działania, ale także i przede wszystkim wytężonej pracy wszystkich Polaków, bez względu na to, gdzie się obecnie znajdują, by podnieść Polskę z tego upadku, w jaki wtrącona została, by ją zagospodarować, urządzić, uporządkować, odbudować i uczynić zamożniejszą, niż była.

W tej pracy o historycznym znaczeniu dla całej naszej przyszłości Polonia Amerykańska może i powinna odegrać wielką rolę.

Z pewnością niejeden odpowie na to wzruszeniem ramion, przypomnieniem różnych niepowodzeń, jakie spotkały naszych reemigrantów, którzy powrócili do kraju po wojnie poprzedniej. Tak jest. Były błędy i były krzywdy. Mamy obowiązek wszystko uczynić, by ich na przyszłość uniknąć. Ale ze starych błędów i starych krzywd nie wolno wysnuwać wniosku, że Polacy amerykańscy mają Polskę pozostawić samą sobie.

Wiem zresztą, że nikt tak nie myśli, ale są ludzie, którzy bez zapału o przyszłej współpracy z Polską będą mówić i bez zapału ją podejmować. A to już niedobrze. Wielkie sprawy i doniosłe cele wymagają wiary i zapału, bo one dopiero wyzwalają tę twórczą energię, która jest podstawą wszelkiej owocnej pracy.

Właśnie wy, Rodacy z za oceanu, macie najlepsze dane po temu, by w Nowej Polsce dokonać rzeczy nie tylko pożytecznych, ale bardzo doniosłych. Twarde i pracowite życie nauczyło Was walczyć z trudnościami; współżycie i współpraca z Amerykanami nauczyły Was przedsiębiorczości, a ich przykład—rozmachu. W porównaniu z waszymi braćmi w kraju, którzy cierpią prześladowania i biedę, żyjecie w warunkach dobrych: możecie pracować i oszczędzać, uczyć się i doskonalić moralnie; możecie zachować i powiększać wasze zasoby materialne i przyjść do pracy po wojnie silni duchowo, niezmęczeni fizycznie. Jest wśród was mnóstwo ludzi, doskonale przygotowanych do różnych fachów, których Polska będzie koniecznie potrzebowała. Macie jako jednostki i jako organizacje wcale pokaźne kapitały, które mogły by być użyte z wielką korzyścią dla Polski i z zyskiem dla was samych.

Aby tę waszą współpracę z Polską przygotować i zaraz po zakończeniu wojny ją rozpocząć powinny wszystkie wasze organizacje zawodowe i społeczne już obecnie tymi zagadnieniami się zająć i w porozumieniu z odpowiednimi organami Rządu Rzeczypospolitej oraz przy pomocy Światowego Związku Polaków gruntownie opracować. Ale główne zadanie należy do was samych. Wy sami musicie wiedzieć, co zrobić możecie i co uczynić chcecie. Musicie ustalić, w jakiej formie wasza pomoc ma się ujawnić, na jaką ilość ludzi i pieniędzy zdobyć się możecie, w jakich dziedzinach przede wszystkim chcielibyście pracować.

Ze swej strony organa Rządu dostarczyły by wam—w miarę możności—danych co do najpilniejszych potrzeb Polski, co do rodzaju i ilości pracowników, jacy byliby najbardziej pożądani; co do dziedzin handlu, przemysłu czy rolnictwa, w jakich wasze kapitały mogłyby z zyskiem pracować; co do sposobu, w jaki za waszym pośrednictwem a więc również i z waszym zyskiem można by pozyskać współpracę kapitałów rdzennie amerykańskich.

Stowarzyszenie Techników Polskich w Stanach już przystąpiło do prac przygotowawczych w swoim zakresie działania. Dobry to przykład, za którym pójść muszą wszystkie inne organizacje polskie. Ale prace poszczególnych organizacyj i jednostek muszą się wiązać w jedną wielką uporządkowaną całość. Żaden wysiłek nie może iść na marne, jedna i ta sama praca nie powinna być powtarzana.

Polska będzie na pewno potrzebowała wielu techników. Nie tylko bowiem czeka nas odbudowa dróg, ale także i środków komunikacyjnych. A na pierwszym miejscu wymienić trzeba przywrócenie i rozwinięcie komunikacji samochodowej, która była przed wojną dopiero w zarodku a przez wojnę uległa doszczętnemu zniszczeniu. Oprócz konieczności stworzenia własnego przemysłu samochodowego, będziemy mieli przed sobą zadanie zbudowania rozległej sieci samochodowych warsztatów reperacyjnych, stacji benzynowych i wszelkiej obsługi. W tej dziedzinie Polacy amerykańscy mogą zająć przodujące stanowisko.

Ale nie tylko technicy będą nam potrzebni. Kupcy więksi i mniejsi, hurtowi i detaliczni będą mieli wielkie pole do pracy. Marynarze, technicy okrętowi, pracownicy przedsiębiorstw żeglugowych i portowych—wszystkich będziemy wołali do Polski.

Polonia Amerykańska, a w szczególności tak liczne kupiectwo polskie za oceanem—powołani są z natury rzeczy do wzięcia w swoje ręce całej wymiany towarowej pomiędzy Polską a krajami amerykańskimi. Jedni przez osiedlenie się w kraju, inni przez zorganizowanie w Ameryce przedsiębiorstw importowych i eksportowych, inni wreszcie przez wciągnięcie do tej akcji kapitałów i organizacji rdzennie amerykańskich.

Polska będzie wielkim producentem i eksporterem, stawać się będzie co raz to większym nabywcą i konsumentem towarów zamorskich. Od was, Rodacy Amerykańscy, zależeć będzie w znacznym stopniu, czy Polska stanie się szybko jednym z doskonałych klientów Ameryki.

Pamiętać musimy, że chodzi o cel wielki: przyczynienie się do wzbogacenia Polski i do podniesienia stopy życiowej Polaków a jednocześnie o osiągnięcie godziwych zysków dla Polonii Amerykańskiej. Przez rozumne i umiejętne powiązanie gospodarczego dobrobytu i korzyści całej Polski z dobrze pojętym interesem własnym—może Polonia Amerykańska osiągnąć obydwa cele: wzbogacić Polskę i wielokrotnie pomnożyć własny swój majątek, a przez to zyskać na osobistym i gromadnym znaczeniu gospodarczym i politycznym w Stanach Zjednoczonych.

Obydwa cele są wielkiej doniosłości. Są warte nie tylko głębokiego zastanowienia, ale i wytężonej i wytrwałej pracy. Wiara w jej powodzenie musi zasilać mózgi i serca, a wielkość zadania podniecać wyobraźnię i przedsiębiorczość.

Zgodny, zespolony wysiłek Polonii zamorskiej i wszystkich czynników krajowych nie może nie dać po pewnym czasie wyników pokaźnych, tak wielkich, że przekroczą z pewnością nasze najśmielsze przewidywania.

Rozmach amerykański połączony z polskim entuzjazmem w służbie realnej pracy gospodarczej—oto nasze hasło.

Zygmunt Nagórski

Droga Polski i Ameryki

Wojnę trzydziestoletnią, z której wynikła podstawowa budowa polityczna Europy na przeciąg kilku następnych pokoleń, historycy zwykli dzielić na cztery okresy: czeski, duński, szwedzki i francuski. Dalecy jesteśmy od przypuszczeń, że obecny kataklizm będzie pod względem trwania podobny do tamtego. O ile natomiast chodzi o przeobrażenia, jakie za sobą pociągnie, o rolę, jaką odegra w historii nie tylko naszego kontynentu—możemy zaryzykować twierdzenie, że istnieją znaczne podobieństwa pomiędzy bieżącą wojną a wiekiem XVII. W obydwu wypadkach obserwujemy ogromne nasilenie zagadnień, które dzisiaj określamy jako ideologiczne, podówczas zwano je religijnymi, oraz głębokie podłoże procesów gospodarczych, które ogniem i mieczem próbowano i próbuje się nadal nie tyle rozwiązać, co uprościć.

Już dzisiaj zarysowuje się podobny podział obecnego konfliktu na okresy.

Pierwszemu okresowi należy się miano *polskiego*. Przez cały wrzesień 1939 Polska sama jedna stawia czoło niemieckim dywizjom, które od tego czasu wdarły się do Oslo, Bordeaux, Salonik i Libii.

Drugi okres—to okres *francuski*. Pod złocistą kopułą stropu Inwalidów w Paryżu, pod którą leży Cesarz Francuzów Napoleon I—od czerwca 1940 niemiecki szyldwach trzyma straż.

Trzeci okres, który teraz wciąż jeszcze trwa w całym swym dramatycznym rozmachu jest *brytyjski* w najszerszym i najwspanialszym znaczeniu tego słowa. Brytyjski w sile charakterów, uporze przekonań, wierze w słuszność sprawy, potędze rzuconych na szalę środków, bezkompromisowości poświęceń, ogromie zmagań—brytyjski na lądzie, wodzie i w powietrzu. Depcąc z kolei pozostałe na Bałkanach wolne narody, rzucając swe siły na co raz szersze, bardziej egzotyczne fronty nie ma bowiem Hitler innego celu, niż dosięgnąć i złamać wreszcie brytyjską wspólnotę narodów. Póki walczy Wielka Brytania nie spełnione zostaną światoburcze ambicje *Herrenvolk*'u.

Wchodzimy jednak zdecydowanie w okres czwarty, który w przeciwstawieniu do trzech poprzednich nazwałbym już nie europejskim nawet, ale światowym, międzykontynentalnym.

Arena walki rozszerzyła się bardziej, niż kiedykolwiek. " Wojna, wojna—nie było w Litwie kąta ziemi, gdzie by jej huk nie doszedł "—jakże skromnie brzmią dzisiaj te mickiewiczowskie słowa.

Czynnikiem jednak głównym, istotnym, od którego czwarty—i ostatni jesteśmy pewni—okres czerpie swą nazwę jest wola narodu amerykańskiego. I jak niezmierzone są zasoby i potęga Nowego Świata, tak nieuchronnie ta wola zaważy na wyniku tej tragedii dziejowej. Z chwilą, gdy prezydent Roosevelt obdarzony zaufaniem obywateli Stanów Zjednoczonych po raz trzeci w listopadzie 1940 roku—rola od której nawet wielki Waszyngton się uchylił—zapowiedział w imieniu Ameryki, że nie pozwoli na podbój świata przez najbardziej rasowych barbarzyńców, musi się prędzej czy później rozpaść w proch i w pył krzyżacka zawierucha.

Jeżeli porównamy rozpiętość wypadków pomiędzy pierwszym okresem tej wojny, który nazwałem polskim a ostatnim—światowym, mogło by się łatwo wydawać, że ten pierwszy blednie i niknie w powodzi nieszczęść i wydarzeń, w splocie ogromnym sił, interesów i wartości. W momencie jednak, gdy naród amerykański staje przed wiekopomną decyzją i zmienia się w " arsenał demokracji "—należało by zdać sobie sprawę do jakiego stopnia ta wojna pomimo wyraźnego stopniowania jej zasięgu i podziału na okresy gigantycznego napięcia i przerw nieraz długotrwałych, stanowi jedną organiczną całość.

Ten sam bowiem zbrojny protest przeciwko niemieckiemu dążeniu do ekonomicznego niewolnictwa i duchowego upodlenia trwa i ciągnie się od pól pod Kutnem i murów Warszawy, poprzez walki Australijczyków w Libii, Hindusów w Abisynii, Anglików w Helladzie, aż do lądowania wojsk amerykańskich na lodowiskach Grenlandii.

Istnieje brzemienne w jakże istotny sens historyczny podobieństwo pomiędzy chwilą decyzji jaką w 1939 pobierała Polska, a decyzją Stanów Zjednoczonych w 1941.

Istotą każdego działania jest wybór. Bez wyboru celu i drogi do niego wiodącej działanie o ile jest w ogóle możliwe, nie będzie nigdy całkowicie skuteczne. Każde działanie jest zatem nieustannym wyborem. Wyborem jednego z szeregu możliwych rozwiązań sprawy.

W 1939 Polska nie znajdowała się bynajmniej w położeniu bez wyjścia. Miała kilka dróg przed sobą, miała dokonać wyboru w chwili najbardziej dla narodu ważkiej.

Z jednej strony pójść na lep całkiem kusząco się zapowiadających obietnic i gwarancji niemieckich, nie tylko oszczędzić sobie bezprzykładnych ofiar i strat, ale otworzyć sobie nowe perspektywy polityczne, którym zresztą tyle potem uległo w Europie.

Z drugiej strony wyżej sobie cenić polskie tradycje wolności dla siebie i dla innych narodów, nasze przywiązanie do światopoglądu chrześcjańskiego—z którym niemiecki w żaden sposób pogodzić się nie da—do honoru narodowego, jedynej wartości nieprzemijającej.

Polska jednomyślnie dokonała wyboru i konsekwentnie z bronią w ręku wolała zapłacić najwyższą cenę za to postanowienie.

Ameryka miała również rozmaite możliwości. Z Berlina, Rzymu i Tokio nie szczędzono najszczerszych wysiłków, użyto nie mało najlepszej woli i co znakomitszych argumentów, nie wyłączając pogróżek, by na inną niż ta, którą wybrała, skierować ją drogę.

Postęp techniki na morzu i w powietrzu przekreślił bezpieczeństwo, jakie gwarantowały kontynentowi amerykańskiemu oceany. Do jakiego stopnia grozi jej agresja na wypadek zlikwidowania oporu w Europie i okalających ją morzach—oto pytanie, które pozostawiamy sztabowym fachowcom. Szereg autorytetów wypowiedział się już co prawda twierdząco w tej sprawie, ale nie tylko moment bezpośredniego zagrożenia odegrał rolę w powzięciu decyzji bezwzględnego przeciwstawienia się totalizmowi.

Polska była bardziej i bezwzględniej zagrożona we wrześniu 1939 a przecież nie tylko obawa o własne bezpieczeństwo kierowała jej krokami. Bezpieczeństwa mogła nawet łatwiej szukać na innej drodze.

Ameryka zrozumiała, że grozi jej nie tylko olbrzymi potencjał militarny Niemiec i *last but not least* ich sojuszników, ale grozi jej przede wszystkim *Neuordnung*.

Nowy porządek—cóż bardziej musi być wrogiego Amerykaninowi, który szczyci się wspaniałymi osiągnięciami materialnego dobrobytu, uznaje obywatela w każdym człowieku, sumienie w każdym obywatelu, człowieka w każdej organizacji zbiorowej, dla którego demokracja nie jest luksusem krótkich kampanii wyborczych, ale chlebem codziennym. A demokracja amerykańska potrafiła zapewnić chleb wszystkim, podobnie jak i świątynie każdemu Chrystusowemu wyznaniu.

W Ameryce wszystko można osiągnąć pracą własną—totalizm chce żyć i rządzić pracą cudzą. Niemcy potrafili nie tylko ze swych dywizji pancernych i samolotów uczynić narzędzie teroru i panowania—za nimi idzie w ślad ich organizacja gospodarcza. Narody podbite będą pracować według planów produkcji, które na wieki mają je utrzymać na takim standarcie życia, jakim je raczy obdarzyć niemiecki przełożony. Podobne metody muszą pociągnąć za sobą całkowite przestawienie się gospodarki światowej, zamknąć źródła surowców według uznania nowych władców, zamknąć drogi handlu morskiego i rynki zbytu. Totalizm bowiem to piractwo i rozbójnictwo gospodarcze.

Kierownicy amerykańscy z prezydentem Rooseveltem na czele trafnie ocenili niebezpieczeństwo—i naród zatwierdził ich wybór. Uczynił to jednomyślnie podobnie jak w Polsce—czemu wyraz niezbity dał tutaj Wendell Willkie.

Wiemy, że z tamtej strony oceanu liczni Polacy amerykańscy szybciej, niż inni ich współobywatele zorientowali się, gdzie leży istota tej wojny. Statystyka głosów polskich podczas wyborów w listopadzie ub. roku jest tego najlepszym dowodem. Lecz wybrawszy drogę trzeba jeszcze wysiłku niemałego, by doprowadzić do końca.

Polacy aby okazać się godnymi swej polskiej i amerykańskiej ojczyzny muszą być zatem pierwszymi w wyścigu produkcji, która jak powiedział premier Churchill " da nam narzędzia dla dokonania naszego dzieła."

Lecz wyścig produkcji może nie wystarczyć. Otworzą się napewno już wkrótce nowe możliwości bezpośredniego udziału w budowaniu niepodległej Polski i wolnej Europy, bez których nie będzie bogatej i potężnej, bezpiecznej Ameryki.

Udział ten to historyczna rola Polonii Amerykańskiej.

Jan Meysztowicz

Stany Zjednoczone wobec dwu wojen światowych

"*Lafayette, nous voilà*" ("Lafayette - oto jesteśmy"). Takie były pierwsze słowa jenerała Pershinga, gdy jako dowódca amerykańskiego korpusu ekspedycyjnego stanął—w 1918 roku—na ziemi francuskiej.

Słowa te najlepiej może charakteryzują istotę wzajemnego stosunku Stanów Zjednoczonych i demokracji europejskiej. Rewolta kolonii amerykańskich w końcu XVIII wieku



Woodrow Wilson
rys. Jan Rościszewski (Tom Titt)

miała wiele powodów, wśród nich znaczną rolę grały powody gospodarcze. Jednakowoż wszędzie powstanie to rozumiane było nie tylko jako walka kolonii z Wielką Brytanią, ale także jako walka o wolność. I dlatego w szeregach armii amerykańskiej znaleźli się ci, co i przedtem i potem walczyli o wolność w Europie. Znalazł się nie tylko Francuz Lafayette, znaleźli się i Polacy Pułaski i Kościuszko, którzy po dziś dzień są także i amerykańskimi bohaterami narodowymi.

Wyczucie to było słuszne. Konstytucja amerykańska pierwsza ogłosiła prawa człowieka, na których później się wzorowała konstytucja francuska. Jerzy Waszyngton należy do panteonu światowych bohaterów walki o wolność.

A i w latach późniejszych, latach reakcji europejskiej, Ameryka była krajem swobody, krajem, do którego dążyli ci, którzy w Europie walkę o swobodę przegrali. Znowu olbrzymia większość emigrantów szła za Ocean dla chleba, szła dlatego, że kolosalny rozwój przemysłowy Stanów, a przede wszystkim nowe, dziewicze przestrzenie obiecywały lepszą dolę bezrobotnemu, albo bezrolnemu. Ale liczni byli i ci, co szukali kraju, gdzie można było być wolnym człowiekiem.

W Stanach schronili się republikanie niemieccy po roku 1848, w Stanach szukała schronienia część włoskiej emigracji przed scaleniem Włoch, w Stanach znaleźli się polscy wygnańcy po roku 1863, po roku 1905.

Na tym się jednak rola Ameryki w sprawach europejskich wyczerpywała. Europa dla bogatego Amerykanina była krajem, dokąd się jeździło dla przyjemności, dla przeciętnego obywatela Stanów była dalekim kontynentem, skąd pochodzili jego przodkowie. "*Melting pot*"—kocioł amerykański tak dokładnie potrafił przemieszać imigrantów, tak potrafił wytworzyć narodowość amerykańską, że dla obywatela Zachodu amerykańskiego sprawy Chin i Japonii były ważniejsze od spraw europejskich, dla mieszkańca centrum (*Middle West*) jedynie sprawy kontynentu amerykańskiego miały znaczenie. Jedynie Nowy York i po części Chicago czasem ku Europie spoglądały.

Wojna 1914-1918 roku zrobiła wyłom w tym odosobnieniu. Znowu można przytoczyć cały szereg powodów, dla których Ameryka weszła do tej wojny. I między tymi powodami nie zbraknie faktu, że przemysł amerykański pracował dla koalicji, że banki amerykańskie koalicję finansowały, a więc że w ich interesie leżała porażka Niemiec.

Ale niewątpliwie olbrzymią rolę odegrało także przekonanie, że walka europejska jest walką demokracji z autokratyzmem pruskim, że jest walką o wolność. Gdy Woodrow Wilson mówił, że wojna idzie o to, by "zrobić świat bezpiecznym dla demokracji," nie tylko sam był bezwzględnie szczery i przekonany, ale wyrażał także przekonania znacznej większości narodu amerykańskiego.

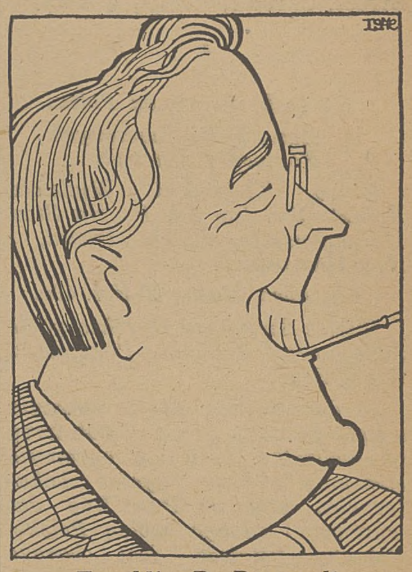
"*Lafayette nous voilà*" znaczyło, że Ameryka, która wolność swą zawdzięczała i pomocy francuskiej wchodzi do walki w zrozumieniu, że spłaca dług, walcząc o wolność Europy. Dług został spłacony nie tylko wobec Francji. Wszakżeż to w 14 punktach Wilsona znalazło się żądanie odbudowania niepodległej Polski z dostępem do morza. I słusznie zupełnie, że jak stoją w Stanach pomniki Kościuszki i Pułaskiego—stanął w Poznaniu pomnik Wilsona, stanął w Warszawie pomnik wdzięczności Ameryce.

Lata powojenne przyniosły zwrot. Stany odwróciły się od Europy.. Nie ratyfikowały traktatu wersalskiego, nie weszły do Ligi Narodów. Zaczęła się szerzyć—nie bez wydatnego udziału propagandy niemieckiej—legenda, że biedni naiwni Amerykanie dali się nabrać demonicznej dyplomacji francuskiej i angielskiej, że zostali wciągnięci pod fałszywymi pozorami w wojnę, która ich nic a nic nie obchodziła, że ci zwycięzcy europejscy narzucili Niemcom krzywdzący imperialistyczny pokój. "Nigdy już więcej nie damy się nabrać Europie—wołano—odwróćmy się do tego zgniłego kontynentu." A gdy zaś państwa europejskie przestały płacić swe długi wojenne, to nikomu w Ameryce nie przyszło do głowy, że ta odmowa jest prostym skutkiem zaprzestania spłaty odszkodowań wojennych przez Niemców do czego w walnej mierze przyczynił się właśnie prezydent Stanów Hoover, nikomu nie przyszło do głowy, że to bankructwo Europy jest związane z tym, że Stany odgrodziły się od niej chińskim murem taryf celnych, że zamknęły drzwi przed emigracją europejską. Odmowa zapłaty długów była jedynie nowym i najmocniejszym może argumentem na korzyść izolacjonistów, zwolenników odosobnienia Ameryki.

Wojna hiszpańska, zajęcie Austrii, Monachium, zajęcie Czechosłowacji nie zmieniło stanowiska Ameryki. Znaczna większość potępiała to, co się działo w Europie, Hitler był znienawidzony, ale to, że demokracje europejskie mu się nie przeciwstawiały było jedynie powodem do pobożnego oburzenia, ale nie do zastanowienia się nad tym, czy nie należało by demokracji tych wzmocnić obietnicą pomocy.

Takie było stanowisko większości. Bo istniała przez cały czas mniejszość, która rozumiała, o co idzie. Byli dziennikarze, jak Dorothy Thompson i Walter Lippmann, byli profesorowie uniwersytetu, byli niektórzy politycy, którzy rozumieli, że to co się dzieje w Europie obchodzi i Amerykę. Którzy rozumieli, że każda pozycja stracona w Europie na rzecz dyktatorów, jest pozycją wolności straconą dla całego świata, a więc i Ameryki. Ci ludzie walczyli z obojętnością publiczności amerykańskiej, walczyli z izolacjonizmem. Zrobili wiele.

Ale to wiele nie byłoby wystarczyło, gdyby nie to, że na czele Ameryki stał istotnie wielki człowiek. Franklin Roosevelt groźbę nazizmu i faszyzmu rozumiał oddawna. Oddawna był i dla Mussoliniego wrogiem nr. 1. Póki Francja i Anglia wierzyły jeszcze w możność ugłaskania dyktatorów był bezsilny. Z chwilą jednak, gdy Polska powiedziała swoje "Nie" i gdy demokracje dotrzymały przymierza, godzina Roosevelta nadeszła. Od pierwszego dnia wojny był zdecydowany rzucić całą siłę Stanów na pomoc tym, co o swobodę walczą, dlatego, że walczą o swobodę. Z początku musiał działać ostrożnie nie należało dawać wrogom atutów wyborczych. Z chwilą jednak, gdy został po raz trzeci wybrany, gdy zostało osiągnięte to, co w "Polsce Walczącej" nazwano "zwycięstwem pod Waszyngtonem," otwarcie zupełnie zdeklarował, że Ameryka jest arsenałem demokracji, że Ameryka jest jej śpichlerzem. A jeśli trzeba będzie to i wojska amerykańskie się zjawią



Franklin D. Roosevelt
rys. Jan Rościszewski (Tom Titt)

tak jak zjawiły się w decydującym roku 1918.

Z powrotem Ameryka spłaca Europie zaciągnięty dług.

Dobrze jest dziś być Polakiem w Stanach Zjednoczonych. Dobrze jest, bo każdy wysiłek włożony dziś w jakąkolwiek dziedzinę pracy jest wysiłkiem zmierzającym ku odbudowie państwa polskiego. Dobrze, bo najzupełniejsza lojalność wobec Prezydenta i rządu Stanów Zjednoczonych, najpełniejszy stuprocentowy amerykanizm jest jednocześnie najpełniejszą lojalnością wobec ojczyzny polskiej.

Polonia Amerykańska może dziś być najpierwszym z żołnierzy sprawy polskiej.

Michał Prozor

Polonia Amerykańska w roku 1917 i w roku 1941

Jeśli się chce dziś pisać o wysiłkach wojskowych i czynie zbrojnym Polonii amerykańskiej w latach 1917-18 prowadzi to z konieczności do naświetlenia życia wychodźstwa polskiego poprzedzającego ten okres. Wiążą się one z nastrojami wychodźstwa wobec kraju, z organizacjami, które działały w kraju, przede wszystkim z "Sokołem," który zorganizował się w Ameryce w r. 1893.

Prezes sokolstwa polskiego w Ameryce, płk. dr. Teofil Starzyński (urzędujący do dziś) w roku 1910, po powrocie ze Zjazdu Grunwaldzkiego w Krakowie, rzucił hasło wzywające młodzież wychodźczą do przygotowywania się na wypadek walki zbrojnej o wolność Polski. Sokolstwo przystąpiło do tworzenia "Drużyn Bojowych." W r. 1914 drużyny bojowe liczyły około 30.000 młodzieży, która ćwiczyła się z bronią w ręku, według zasad bojowych Drużyn Bartoszowych w kraju. Wszystkie organizacje wychodźcze popierały ten ruch w nadziei, że niedługo nadejdzie chwila, gdy młodzież z Ameryki stanie do walki o wolność ojczyzny. Zdawało się, że chwila ta nadeszła. Wiadomości jednak otrzymane z Krajowego Sokoła Macierzy nakazywały cierpliwość.

W poczuciu odpowiedzialności za ideowe przewodnictwo Zarząd Sokolstwa Polskiego w Ameryce rzucił nakaz wyczekiwania na odpowiednią chwilę. Wzywał wychodźstwo do wytężonej pracy i jednolitej postawy. W szeregach drużyn bojowych stał przyszły żołnierz polski, syn chłopa i robotnika, który przybył do Ameryki za chlebem, a obecnie był gotów walczyć za kraj macierzysty.

Kilkunastu Sokołów z ówczesnym naczelnikiem Witoldem Rylskim wyjechało do Legionów Piłsudskiego nie mogąc się doczekać właściwej chwili.

Wszyscy wówczas zdawaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy nieznacznym tylko ułamkiem narodu polskiego. Wobec ograniczeń swobody ruchów braci naszych w kraju, my na ziemi Washingtona reprezentowaliśmy cały naród polski. Serca nasze były z tymi, co ginęli za Polskę pod Mołotkowem, Rarańczą, nad Nidą. Tam ginął kwiat młodzieży polskiej. Jednak rozum i bieg wypadków rozwijającej się wojny nakazywał nam użycie rezerw wychodźstwa amerykańskiego w bardziej korzystnym momencie dla sprawy polskiej.

W celu zespolenia wysiłków wszystkich organizacyj wychodźczych z inicjatywy Sokolstwa powstał (w lutym 1913) w Ameryce "Komitet Centralny Obrony Narodowej," którego zadaniem było niesienie pomocy materialnej Polsce i walczącym Legionom. Później wskutek wyraźnie zarysowującej się konieczności zabezpieczenia interesów Polski w gronie państw walczących z Niemcami i na skutek zbyt jaskrawej działalności Komitetu Obrony Narodowej na korzyść państw centralnych Sokolstwo zmuszone było zerwać swoją pracę z tym Komitetem. Społeczeństwo wychodźcze podzieliło się na dwa obozy. W obozie współpracy z Aliantami stanęła zdecydowanie olbrzymia większość zorganizowanego wychodźstwa z Związkiem Narodowym Polskim i Zjednoczeniem Katolickim na czele.

Na skutek porozumienia wychodźstwa z Anglią, z Francją i Stanami Zjednoczonymi, w czym czynny udział brał Ignacy Paderewski w końcu r. 1916, sprawa była należycie przygotowana. Wiadomości były skromne, bez szczegółów. Zaledwie kilku nas było wtajemniczonych przez prezesa Starzyńskiego, że wkrótce już na pewno przystąpimy do tworzenia wojska polskiego po stronie Aliantów.

Trzeba było przede wszystkim przygotować kadry oficerów i podoficerów. Dnia 2 stycznia 1917 r. w ścisłej tajemnicy wyruszyła pierwsza grupa do szkoły oficerskiej w Kanadzie. Pobyt w szkole przez czas trwania kursu był trzymany w tajemnicy przed społeczeństwem. Żaden z uczestników nie miał prawa komunikowania się ze znajomymi w Stanach Zjednoczonych, a nawet z najbliższą rodziną. Wszyscy słowa dotrzymali. Chodziło mianowicie o to, by przeciwnicy współpracy z Aliantami przez krótkowzroczność, w zaraniu nie zepsuli sprawy.



Ignacy Paderewski
rys. Jan Rościszewski (Tom Titt)

Grupa ta uzyskała stopnie oficerskie w chwili, gdy w Pittsburgu—4 kwietnia 1917—odbywał się nadzwyczajny zjazd Sokolstwa, na którym mistrz Paderewski ponowił apel tworzenia, za zgodą rządu Stanów Zjednoczonych i Aliantów 100.000 armii Kościuszkowskiej w Ameryce współwalczącej z Aliantami przeciwko Niemcom. "W chwili tak doniosłej nie słów trzeba—mówił Paderewski—ale śmiałych i doniosłych czynów. Pozwalam sobie postawić wniosek: Związek Sokołów Polskich, który jest zawiązkiem armii polskiej, wyśle telegram do prez. Wilsona, w którym mu ofiaruje 100-tysięczną armię, prosząc, aby tej armii pozwolono nosić miano "Kościuszko Army."

Druga grupa wyjechała do szkoły oficerskiej do Kanady, a w Cambridge Springs, na wiosnę 1917 r., powstała szkoła podchorążych i podoficerów prowadzona przez pierwszą kadrę oficerów. W Pittsburgu urzędowała wojskowa komisja techniczna, która przygotowywała plan propagandowo-rekrutacyjny.

4 lipca 1917 r. po dekrecie Prezydenta Francji uznającego armię polską za autonomiczną i współwalczącą, cel nasz był jasny i wyraźny, zadania wielkie i odpowiedzialne. Za zgodą rządu Stanów Zjednoczonych wyrażoną 4 października 1917 r. oficjalnie rozpoczęliśmy werbunek ochotników. 17 października odbył się w Chicago zjazd Polonii. Zapał ogarnął wychodźstwo. Młodzież zgłaszała się gremialnie do szeregów. Centra rekrutacyjne w pierwszych 10 dniach zapisały przeszło 15.000 ochotników z "Drużyn Bojowych" Sokoła.

Obozy w Kanadzie nie były przygotowane do przyjęcia tak dużej liczby rekrutów. Powstawały trudności techniczne, brak mundurów, butów, namiotów i t.p. Niedomagania pierwszych dni wykorzystali przeciwnicy tej akcji i szerzyli kontrpropagandę przeciwko tworzeniu siły zbrojnej po stronie Aliantów.

Drobne trudności nie załamały wiary. Na ziemi kanadyjskiej tworzyła się armia polska. Szeregi jej rosły z dnia na dzień. W sercach żołnierzy rodziła się wizja przyszłej wolnej Polski.

Rozwiązanie Legionów, walki gen. Hallera pod Rarańczą i Kaniowem, uwięzienie komendanta Józefa Piłsudskiego, przyjazd gen. Hallera do Francji i objęcie naczelnego dowództwa—wszystkie te wypadki ogromnie przyśpieszały proces tworzenia się armii polskiej w Ameryce.

Mimo trudności politycznych rosła ilość ochotników do zamorskiej armii polskiej we Francji, dochodząc do cyfry 35.000 ludzi. Pod dowództwem gen. Hallera armia ta osiągnęła zapowiedzianą przez Paderewskiego cyfrę 100.000, gdyż podążyli do jej szeregów za naszym przykładem Polacy ze wszystkich zakątków świata.

Istnienie armii polskiej we Francji dało prawo zasiadania przedstawicielowi Polski na konferencji pokojowej, a przelana krew jej żołnierzy przyczyniła się łącznie z innymi, którzy ją przelewali w równie dobrej woli i wierze—do ostatecznego ustalenia granic Rzeczypospolitej.

Obecnie znów historia się powtarza. Niebawem wychodźstwo polskie w Ameryce prawdopodobnie przystąpi do tworzenia polskiej siły zbrojnej, lecz w jakże odmiennych warunkach. Z jednej strony mamy Prezydenta Rzeczypospolitej, rząd, placówki dyplomatyczne i konsularne, lecz z drugiej lata utracone i osłabienie więzi, łączącej wychodźstwo z krajem wskutek wadliwej polityki emigracyjnej poprzednich rządów, oraz bóle i żal do starego kraju co wytworzyło nowe trudności.

Historia się powtarza—Wódz Naczelny Armii Polskiej Generał Władysław Sikorski przebywa w Ameryce dla przygotowania organizacji armii, podobnie jak wówczas, gdy w roku 1918 przybył do Ameryki Prezes Komitetu Narodowego w Paryżu Roman Dmowski.

Bezpośredni kontakt kierowników odpowiedzialnych za losy Polski z wychodźstwem był zawsze potrzebny, a w chwilach historycznie doniosłych jest konieczny, by utrzymać więź duchową i wzniecić gotowość złożenia ofiary krwi i mienia przez wychodźstwo dla Polski.

Polonia amerykańska, której niezachwiany patriotyzm wytrzymywał niejednokrotnie próby ogniowe i dziś, podobnie jak w czasie wojny światowej stanie do walki o pomszczenie krzywd.

Jan Roskosz

Polonia pisze do żołnierzy

. . . "My, Polacy w Stanach Zjednoczonych jesteśmy wszyscy myślą i sercem przy żołnierzu polskim. Chcielibyśmy przychylić mu nieba. Sukcesy polskich lotników i marynarzy napawają nas dumą największą. Pracujemy, jak możemy by przyjść Polsce z pomocą. Oby mogła przyjąć ona jak najszersze rozmiary." . . .

Z listu Siostry M. Blanki, Bernardynki (2713 West Fourth Street, Chester, Penna, U.S.A).

* * *

Związek Narodowy Polski
w Stanach Zjednoczonych
Północnej Ameryki

Biuro Komisarki Wydziału Kobiet Okr. Igo Z.N.P. Na Stan Massachusetts, Rhode Island, i New Hampshire.

Chicopee, Mass., 22 list. 40r.

Wielce Szanowny Dyrektoryacie Światowego Związku Polaków z Zagranicy.

Serdecznie dziękuję za starania o upominek dla Polskich Żołnierzy na gwiazdkę. My się ogromnie cieszymy z ich czynów bohaterskich, oby im Pan Bóg dał wytrwać i zdobyć wolną Polskę. Polonia tutejsza jest bardzo ofiarna, Komitety ratunkowe pracują szczerze, chociaż zakrada się u niektórych wątpliwość czy datki dochodzą do miejsca przeznaczenia. Ja również śpieszę z małym datkiem, gdyż czas nie pozwala czekać posiedzeń Towarzystwa. Datki pochodzą od grup żeńskich Związku Narodowego Polskiego grupa TEZL $ 6.55 i od grupy 2590 razem 17/siedemnaście dolarów/

Aby nie wpaść w podejrzenie proszę mi odpisać jak datek ten dojdzie. Pieniądze te są przeznaczone dla tych żołnierzy, którzy walczą obecnie w Anglii. Proszę więc użyć te pieniądze na artykuły i rozdać naszym Złotym Chłopcom.

Życząc Wesołych Świąt i Szczęśliwszego Nowego Roku

kreślę z należnym szacunkiem Franciszka Matras, Komisarka W.K. okręgu Igo Z.N.P.

* * *

. . . "Przesyłam 5 dolarów na dar dla naszych lotników, bo oni na to zasługują, ażeby sobie dobrze użyli póki żyją i nim wyjadą na bombardowanie tych łotrów Niemców, a także bo oni nie są pewni czy powrócą żywi z powrotem. Więc, gdy zginą za Polskę, to chociaż tyle będą mieć, co użyli za żywota i nie żal im będzie zginąć, czy umrzeć dla Polski. A obecnie jedyna nadzieja jest jeszcze w lotnikach, którzyby się poświęcili ze wszystkim i oddali ze siebie największą energię, wolę i umiejętność do jak najskuteczniejszego bombardowania Niemców, tak co by każde miasto niemieckie było zniszczone nie do poznania. Więc trzeba tym lotnikom dać jakiejś strawy duchowej i cielesnej, o ile tylko nas na to stać, a potym wszystkim dać im maszyny z piekielnymi bombami, żeby dali Niemcom to, co się im należy, bo już czas najwyższy.

Daję tylko te pięć dolarów obecnie, bo nie mogę sobie pozwolić na więcej, ponieważ jeszcze mało pracuję, a mam familię do utrzymania. Lecz, że do tyatrów nie chodzę, i cygaretków nie palę, to co zaoszczędzę z tego daję na pomoc Polsce, ponieważ jestem w szczęśliwszym położeniu jak wy wszyscy panowie w Anglii a Rodacy w Polsce. . . . Za Łabą wszechpolski las, ruszajcie Niemcy precz, już nastąpił sądu krzest słowiańskich praw uderza miecz. Bo ten lud słowiański dzielny nasz, tak silną trzyma straż, więc Słowianie łączcie się póki czas, niech Niemiec ucieka stąd już raz" . . .

Wyjątki z listu Piotra Wieronskiego (5851 Giddings Street, Chicago, Ill., USA).

* * *

. . . "Czytając w gazetach, jak nasz polski żołnierz dzielnie walczy przeciw tej chorobie niemieckiej, my tu na wolnej ziemi Washingtona dumni jesteśmy z tego, i wierzymy w to, że przy takiej odwadze, i przy boku Anglii, nie może zginąć Ta, która dziś jęczy w kajdanach, w niewoli, ale powstanie Wielka i Niepodległa." . . .

Z listu Heleny Pelc (268 Brighton Street, East Pittsburgh, Pa., USA).

* * *

"Ukochany Rodaku Samborski*

Odnalazłem Twoje nazwisko w ogłoszeniu Światowego Związku, ale nie jestem pewny, czy trafiłem celnie, ale przypuszczam, bo poszukujesz tu Jurkiewicza Antoniego. Nie wiem, czy Ty sobie przypominasz mnie, bo byłeś małym chłopakiem, ja znam dobrze Twego Tata, braci, Wojtka i siostry Kasi it.d. Pomimo interesuje mnie świat dzisiejszy i dola narodu polskiego i jak właściwie Ty dostałeś się do Anglii i jakim sposobem. Wiem co to znaczy tułaczka, bo dwa razy byłem w niewoli od roku 1915 do 1921 i dziś się zapisałem do Wojska na ochotnika, chciałbym pomścić tego gada za bombardowanie Sambora 8 razy. Nimam żadnej wiadomości z kraju. Czy masz tam znajomych i jak ci się powodzi? Jeżeli masz kogoś ze znajomych to pozdrów ode mnie, a także wszystkich kolegów. Trzymajcie się na duchu, że Polska powstanie silniejsza jak była przedtym, bo teraz Stany Zjednoczone ślą wielką pomoc Anglii a zarazem i Polsce, a to kraj bogaty chleba i broni nie braknie. Niemczaków szlak musi trafić teraz, czego ja im życzę ze serca szczerego. Daj Boże, Rodak Samborski

W. Trybuch.

Athabasca, Alta, Canada.

* * *

. . . "Wiadomości o polskim wojsku w Anglii interesują nas najwięcej. Dzielne chłopaki.

(*adresat pochodzi z Sambora),

Żeby już jak najszybciej zdecydowała się sprawa obozu Kościuszki w Kanadzie. Nasze gazety piszą tu o tym wiele, ale sprawa jest niemała i trzeba ją dobrze przygotować. Chętnych się znajdzie, co będą chcieli na Niemca. Polacy wiadomo — naród żołnierski. Teraz 17 procent ochotników do armii Stanów—to Polacy. Sprawa jest wspólna, Polska, Stany i Anglia mają jednego wroga. Będziemy bić ile wlezie wspólnie z polskim żołnierzem z Anglii." . . .

Z listu Jana Stokłosy, Hamtramck, Mich.

* * *

. . . "Jest nas tu w Texasie ze dwadzieścia tysięcy polskich farmerów. Prawie wszystko drugie i trzecie pokolenie zrodzone na wolnej ziemi amerykańskiej. Wiadomości ze świata nie często tu dochodzą, ale i z gazet polskich i czasem z amerykańskich a czasem z radia wiemy jak dzielnie bije się nasz żołnierz. Polacy zawsze tacy. Nie dadzą się do ostatka, a w ostatku muszą zwyciężyć drania niemca razem z bolszewikami i wypędzić za siódmą górę. Wierzcie nam drodzy rodacy, że bardzo cieszymy się każdą wiadomością o polskim żołnierzu. Przeszedł tułacz wiele, ale niezgorzej Niemców łupi, zwłaszcza polski lotnik. Kochamy ich wszystkich bardzo i żal nam, że nie jesteśmy z nimi. Stary już jestem, ale niechby zrobili oddziały polskie w Stanach, to poszedłbym, przecież przydałbym się do jakiejś roboty. Prosimy was bardzo drodzy rodacy pozdrówcie serdecznie od nas wszystkich naszych żołnierzy. Jesteśmy myślą przy nich. Niech Bóg da im zdrowie, aby szwaba prali." . . .

Z listu Stanisława Kuca, farmera polskiego w Texasie.

* * *

. . . "Wszystko robimy, co w naszej mocy dla naszych polskich rodaków i dla polskich żołnierzy oraz dla Anglii. Mój syn jest we wojsku i wyrabia bombowce i buduje je. Jak Pan zobaczy duży bombowiec, może Pan śmiało pomyśleć o p. Korycińskiej synu, który je budował."

Z listu Teofili Korycińskiej z Superior, Wis. 1224, Birch Ave., USA.

* * *

. . . "Proszę to donieść naszym awiatorom, naszej Marynarce Wojennej i szarym żołnierzom Armii, że sercem i duszą jesteśmy z nimi i z wami wszystkimi razem rodacy. Podziwiamy wasz stoicyzm i zarazem współczujemy z wami wszystkie bóle i cierpienia, jakie przechodzicie wy i ci, którzy pozostali w Polsce" . . . "Cześć i chwała polskim awiatorom" . . .

Z listu Michała Stefańskiego, 516 St. Regis Hotel, Chicago, Ill., USA.

* * *

. . . "Składam wam życzenia osobiście i imieniem Polskiego Lokalu Nr. 38, Amalgamated Clothing Workers of America, ażebyście wraz z waszą sojuszniczką Wielką Brytanią pobili tych międzynarodowych gangsterów Hitlera z jego bandą, Mussoliniego z jego armią i Stalina oszusta klasy robotniczej i sprzedawczyka idei i ideałów ludu pracującego. Ażeby wszystkie narody odzyskały utraconą wolność a pomiędzy, żeby przyszła wolna, demokratyczna dla wszystkich ludzi pracy Polska. O te zasady walczymy, walczyć będziemy aż do zwycięstwa. Cześć i chwała cierpiącemu ludowi polskiemu" . . .

* * *

Kochany Rodaku!

Paczka, jaką otrzymasz wraz z listem niniejszym, jest jedną spośród tysięcy paczek, jakie z okazji Wielkanocnych Świąt (a przedtem Świąt Bożego Narodzenia) wysyłamy Polskim Żołnierzom w Anglii. Samorzutna ta akcja jest tylko małą cząstką działalności Polaków Amerykańskich, którzy zawsze są ofiarni, jeśli idzie o cele polskie, którym jednak w nawale ich codziennych zajęć i własnych trosk trzeba od czasu do czasu przypominać bolączki Rodaków w Europie.

Dlatego prosimy Cię, Kochany Rodaku, żebyś napisał tak jak potrafisz i jak czujesz choćby kilkanaście słów do tej osoby, która ufundowała Twoją paczkę. Jak pomyślny wywiera to wpływ i jak zwiększa ofiarność, niechaj świadczy następujący przykład:

Pewna Polka amerykańska, która na Boże Narodzenie zakupiła jedną paczkę dla naszych lotników, otrzymała od nieznanego jej polskiego pilota serdeczny list z podziękowaniem. List wzruszył ją tak, że natychmiast pośpieszyła na pocztę, by autorowi listu posłać sto dolarów. Poczta oczywiście nie mogła przyjąć tego przekazu do wykonania, ponieważ jednak Polka ta koniecznie chciała odwdzięczyć się jakoś za tak ujmujący list, doradziliśmy jej, aby wysłała paczki żywnościowe sędziwej matce owego lotnika, mieszkającej w Polsce, co też owa Rodaczka obecnie czyni.

Oto jeden z przykładów, jak żywe echo wywołuje tutaj Wasz głos i jak wzmaga on ofiarność Polonii Amerykańskiej.

Ktoś inny napisał z Anglii, że najbardziej dokucza Wam brak pokarmu duchowego, polskiej lektury. List ten przedrukowaliśmy w kilku tutejszych polskich gazetach i wywołał on skutek tak pomyślny, że już w drodze do Was znajduje się kilka tysięcy polskich książek, wśród których nie brak arcydzieł literatury takich mistrzów pióra, jak Sienkiewicz, Żeromski i t.d.

Z pewnością słyszałeś już, Kochany Rodaku, na jak olbrzymią skalę produkują teraz Stany Zjednoczone broń, amunicję, samoloty, okręty, czołgi i wszelkie inne narzędzia nowoczesnej wojny. Z pewnością słyszałeś, że cały ten gigantyczny "arsenał demokracji" będzie służył państwom, które walczą ze zbrodniczymi dyktaturami. I z pewnością tak samo jak my tutaj wszyscy, Ty także głęboko wierzysz, że bliska jest chwila sprawiedliwego odwetu za wszystkie straszliwe krzywdy, jakich Polska doznała i że bliska jest chwila wspaniałego Zwycięstwa Słusznej Sprawy. W przede dniu takich wydarzeń szczególnie ważną rzeczą jest zadzierzgnięcie jak najmocniejszych więzów solidarności narodowej i przyjaźni pomiędzy Wami, dzielnymi Rycerzami Polski, a nami, Polonią Amerykańską.

Pisuj więc do nas, Kochany Rodaku, gdy czas pozwala Ci na to. A może masz jakieś specjalne życzenia? Spełnimy je z pewnością, jeżeli tylko będzie ono leżało w granicach naszych możliwości. I nie uważaj załączonej paczki za nic innego, jak tylko za skromny dowód, że my tutaj w Ameryce zawsze pamiętamy o Was, że "sercem i myślami—jesteśmy wciąż z Wami!" A spotkamy się osobiście może już niebawem w Wolnej Polsce!

Polska Rada Narodowa w New Yorku

/-/ Kazimierz J. Koszarski
Przewodniczący Komitetu Odzieży i Paczek dla Żołnierzy, Prezes Centrali Tow. Polsk. w Nowym Yorku.

New York, 3 kwietnia 1941 r.

List ten był dołączony do wszystkich paczek ofiarowanych żołnierzom polskim przez Polonię amerykańską z okazji ostatnich Świąt wielkanocnych.

Pod łaskawym Protektoratem

Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Władysława Raczkiewicza i Pana Premiera i Naczelnego Wodza Gen. Broni Władysława Sikorskiego

odbędzie się dnia 4 maja 1941 o godz. 11 w Dundee przy ul. Lindsay 31

ZJAZD BYŁYCH POWSTAŃCÓW ŚLĄSKICH

Komitet Honorowy:

J. E. Ks. Biskup Józef Gawlina, minister Gen. Broni Józef Haller, Szef Sztabu Naczelnego Wodza, Korfantowa Elżbieta, minister prof. Stanisław Kot, dowódca Korpusu Nr. 1, v-prez. R. N. Stanisław Mikołajczyk, Pierwszy Generał do zleceń Naczelnego Wodza, minister Marian Seyda, minister Gen. Broni Kazimierz Sosnkowski, minister Jan Stańczyk, minister prof. Stanisław Stroński.

Na zjazd powyższy zaprasza się wszystkich byłych Powstańców i Ślązaków.

Komitet Wykonawczy

KONKURS FOTOGRAFICZNY "POLSKI WALCZĄCEJ"

W numerze świątecznym (15-16) ogłosiliśmy konkurs na cykl fotografij z walk i życia Armii Polskiej.

Konkurs jest otwarty dla wszystkich żołnierzy bez względu na rodzaj broni i bez różnicy szarż.

Cykl fotografij może dotyczyć którejkolwiek kampanii (polskiej, norweskiej, francuskiej, angielskiej), życia żołnierskiego w różnych ośrodkach i przekrojach. Winien jednak stanowić całość związaną t. zn. odnosić się bądź do jednego okresu walk, bądź do jednego środowiska, jednej jednostki wojskowej i t.d. Biorący udział w konkursie mogą swobodnie wybierać zasady czy hasła, któreby wiązały nadesłane zdjęcia w jedną całość (n.p. "przyjaźń polsko-szkocka," "jak spędziliśmy ostatnią Wielkanoc" i. t.p.)

Cykl fotografij nie może liczyć mniej niż **6 zdjęć**, pożądane jest, aby nie liczył więcej **niż 12.**

Termin nadsyłania prac na konkurs fotograficzny upływa z **dniem 20 maja 1941 r.** Prace należy nadsyłać do wydawnictwa "Polski Walczącej" 5 Portugal Street, London, W.C.2.

Odbitki fotograficzne winny być wykonane możliwie starannie (na papierze kontrastowym, lśniącym) i w możliwie dużym formacie dogodnym do kliszowania.

Każda fotografia cyklu przesyłanego na konkurs winna być opatrzona godłem i numerem porządkowym. Do każdej przesyłki należy dołączyć zapieczętowaną kopertę z imieniem, nazwiskiem i dokładnym adresem. Na kopercie winno być powtórzone godło obrane przez stającego do konkursu.

Za najlepsze prace będą przyznane trzy nagrody pieniężne:

pierwsza nagroda Ł 25.—
druga nagroda ... Ł 20.—
trzecia nagroda ... Ł 15.—

oraz kilkanaście nagród książkowych. Jury może nadto odznaczyć pewną ilość prac.

Nagrodzone cykle fotografij będą reprodukowane w "Polsce Walczącej" a po reprodukowaniu przekazane Archiwum Wojskowemu Sztabu N.W. Redakcja "Polski Walczącej" zastrzega sobie prawo reprodukcji prac nienagrodzonych i nieodznaczonych za zwykłym zwrotem kosztów wykonania zdjęć.

W skład jury konkursu wchodzą: **Eugeniusz Cękalski, Władysław Dziewanowski, Wojciech Jastrzębowski, Stefan Osiecki, Tymon Terlecki.**

Żołnierze piszą do Polonii

List lotnika

Na niebie świecą jeszcze gwiazdy, na wschodzie dopiero fioletowieje, ale eskadra już na "readiness" w baraku przy maszynach. Ubrane w żółte kamizelki,—"Mae West" je nazywają dla obfitości kształtów,—drzemie bractwo w fotelach naokoło kominka.

Ale mnie spać się nie chce, choć może i w półśnie piszę do Was, Polacy, których nie znam.

Wkrótce się rozjaśni i może nie będę miał czasu pisać dalej. Zadzwoni telefon z "operations" i drzemiące teraz towarzystwo w parę minut znajdzie się nad ziemią, czujne, uważne, daleko widzące. Będziemy szukać niemieckich "bandits," będziemy ścigać ich, póki nie oczyścimy nieba między naszą twierdzą a lądem niewoli.

Albo pójdziemy patrolować konwój. Na śpiącej jeszcze wodzie odnajdziemy sznur okrętów, wiozących nam broń i żywność ze spokojnej i sytej Ameryki. Będziemy krążyć nad nimi, wachlując przyjaźnie skrzydłami dymy, ciągnące z kominów, będziemy szumieć im tym szumem, który mówi: "Bądźcie spokojni, czuwamy!"

O, gdybyście wiedzieli, jakie to szczęście—wiedzieć, że tam na pokładzie ludzie patrzą na nas, liczą na nas i ufają nam; że uśmiechają się do nas radośnie i znajdują opiekę pod naszymi skrzydłami. Jest duma i jest jakaś słodycz macierzyństwa w sercu myśliwca, opiekującego się konwojem.

A może polecimy nad okupowaną Francję, nad ląd niewolników i najeźdźców. Polecimy, jako eskorta naszych bombowców i będziemy pisać na niebie białe znaki. Znaki groźby dla najeźdźcy i znaki otuchy dla tych, którzy tęsknią do wolności.

I tak będą mijać dni, podobne jedne do drugich, znaczone tylko kreskami na tablicy strąconych przez eskadrę wrogów, a czasem—znaczone ubytkiem któregoś z nas. Aż nadejdzie dzień jeden, kiedy polecimy daleko, daleko na wschód i wylądujemy na zielonych łąkach między wsiami o chatach bielonych, słomą krytych.

I odzyskamy wszystko, co zostało, co tęskni i co cierpi.

* * *

Nie wiem, dlaczego piszę do Was, których nie znam. Może dlatego, że nie mam do kogo pisać już od półtora roku. Może dlatego, że odcięty od najbliższych zrozumiałem, a raczej—odczułem, że Wy wszyscy jesteście mi bliscy.

Gustaw Nierad

List marynarza

Kochany Staszku!

Konwojowaliśmy daleko w Atlantyk. Trzeciego dnia Michaś wysłuchał Asdic'iem łódź podwodną. Narzucaliśmy bomb hydrostatycznych masę. Było to wielkie święto okrętowe. I ten "rekin" kipnął, że ani pary z ust . . . chciałem powiedzieć—nie puścił, ale kiedy właśnie, że—puścił "parę." Bulgotała woda jak w czajniku.

Michaś ucałował "Recorder" i oddał słuchawki następnemu.

Ale więcej nic już się nie zdarzyło. Byliśmy prawie pod brzegami Ameryki.

Tu mi się przypomniało, że już dawno listu do Ciebie nie pisałem.

Właśnie moja kochana "Błyskawica" ("light cruiser'em" nazywają ją Anglicy) przycumowała na fest. Ty nie widziałeś jej—prawda? Mówię Ci—nie masz ładniejszego kontrtorpedowca na świecie. Najszybszy, najładniejszy, najpotężniejszy! . . . Co tu gadać—wspaniały!!—Bracie, przecież, do diabła, w niejednym porcie rzucaliśmy cumy, czy kotwę, a nigdzie nie widziałem takiej "Błyskawicy"!!

Wiara dobrana—chłop w chłopa—morowy z kościami. . . . Tylko, psia krew, przeszkadzają mi teraz pisać. Nasz chór rewellersów, rozumiesz, trenuje. "Wiązanka polskich kwiatów! . . ."

Żywo, skocznie, wesoło!!! Ten Ci, Bracie, Jędrek to gra na akordeonie, że hej! (Uszy puchną . . .) Jurek ma dobry tenor—tylko . . . nie bardzo.

Rozkołysała się "buda" melodią "krakowiaka." Porozdziawiali gęby szeroko. I tupią i klaszczą! Śmialiby się wokół głowy, tylko, że . . . uszy przeszkadzają. Oj, danaż, moja dana!! Już chóru nie słychać. Śpiewają wszyscy!

Ja też piszę i śpiewam. Więc nie dziw, że tak—bez sensu. . . . "Kaśka, Maryśka, Małgośka, Hanka niech tańczy, niech hula do samego ranka!! . . Obereczek!!! Hu!!! Ha!!!" Panowie z życiem, Panie z wdziękiem! . . . Nogi ustać nie chcą. Ba! Co tam—nogi!! Sama "Błyskawica" rusza się przy molo. Tańczy! Słowo daję! Tylko jej liny przeszkadzają. Aż przyszedł oficer wachtowy. "Burta służbowa—do obciągnięcia cum."

Trochę się uspokoiło. I chór przyszedł do głosu. Nucą coś rzewnie i tęskno. "Mruczando" . . . Aha!—"Rozkwitały pęki białych róż. . . ."

Ten śmieszny Janek ma już łzy w oczach. On zawsze tak. . . .

To Ci powiem, że ten Janek nie ma łez w oczach jak strąca samoloty niemieckie. O, nie! (Nie patrzę mu wtedy wprawdzie w twarz, bo sam mam pełne ręce . . . pocisków) Ale! Na pewno nie ma! Musi przecież celować przez lunetkę celownika. A jakby miał, to by nie mógł—prawda?

Tylko, że potem—znów nie wiadomo—dlaczego, lśniły mu się podejrzanie oczy, gdy Sikorski go ściskał i Virtuti przypinał. Śmieszny ten Janek.

Inna rzecz, że "kumpla" lepszego nie znam. Do rany go przyłożyć. Idę z nim dziś wieczorem do kina. A może—na rewię. Nie wiem jeszcze. To pewne, że po drodze wstąpimy na "Double Port-wine." Strasznie je lubię. A Ty też! Prawda!

...Pamiętasz—na Madeirze? Byłem na "Iskrze," ty na wspaniałej fregacie z gwiaździstą banderą. Pytałeś—czy chciałbym się zamienić. Odpowiedziałem, że okręt może . . . prawdopodobnie . . . ostatecznie, ale bandery—nigdy! A Ty na to, że jedno i drugie pragnąłbyś tak bardzo. . . .

Dobrze nam było razem na tej Madeirze. Co za wyspa! Wokół turkusowy Atlantyk, a ona wyrasta z olbrzymiej głębokości w strzeliste, ośnieżone szczyty. Cud natury! I tyle słońca! Tyle błękitów! Tyle radości, pogody, beztroski! . . . Ocean wokół był spokojny. I pokój panował na świecie. A na tej wyspie to już było jak w raju. Pamiętasz?

Opowiadałem Ci o Polsce. Że rośnie w siłę, w potęgę, w dobrobyt. Że już jest—Wielka! Opowiadałem Ci o naszych wioskach, miasteczkach, górach, wybrzeżu. O naszych czarownych zakątkach. . . . Jeszcze może piękniejszych, niż Madeira! I o naszych dziewczętach—też. . . . Napewno najpiękniejszych!!

Tyś marzył o Niej—o Polsce! Nigdy Jej nie widziałeś. Ale, że masz jedno pragnienie w życiu, jedno życzenie i cel: zebrać trochę pieniędzy i wrócić do Kraju. I nic więcej nie chcesz.

Jam Cię gorąco zapraszał do siebie. Przyrzekłeś. Że—dobrze, że owszem . . . z przyjemnością.

To było jakieś pięć lat temu. Na Madeirze. Cudowna wyspa! Samotna—wśród pustyni wód. Oaza spokoju, dobrobytu, piękna. . . .

Myślę teraz o innej wyspie—o tej, na której teraz jestem. O—"Brytanii" . . . I tu jest dobrobyt. Tu też są piękne zakątki. Ale to nie jest oaza wytchnienia, wypoczynku i spokoju. To ośrodek walki o wolność całego świata. To fort nie do zdobycia—oaza wśród pustyni niewoli.

Madeira, Bracie, mogła być najpiękniejszym celem podróży dla wszystkich jachtów całego świata—w czasie pokoju. Teraz zaś Wielka Brytania jest kresem wędrówki wszystkich ludzi miłujących wolność. Jest obozem warownym, w którym wszyscy Polacy, mogący walczyć, muszą się zjawić.

Tak myślę i wiem, że Ty się ze mną zgadzasz. I płyną tu, Bracie, okręty z najdalszych zakątków świata. I pod banderą gwiaździstą też. I co ważniejsze—wojenne okręty amerykańskie. . .

I tak, Bracie, jak wtenczas na Madeirze, spotkały się dwie bandery. Przedostatniej niedzieli stała "Błyskawica" przy burcie amerykańskiego kontrtorpedowca—na jednej beczce. On właśnie tylko co przeszedł Atlantyk. I jeszcze powiewała gwiaździsta bandera. A obok niej nasza. Biało-czerwona z orłem!

I teraz nie zamieniłbym już ani okrętu, ani bandery. Za żadne skarby!!! Nigdy!!! I nie dlatego, że nasza "Błyskawica" to jednak naprawdę najcudniejszy kontrtorpedowiec. Ale bo to jest skrawek Ojczyzny. To nasza mała Polska! . . .

A bandera! Zawsze była bardzo droga, a teraz jest czymś, czymś. . . . Nie wiem—co powiedzieć. . . . Chyba jest czymś. . . . Świętym!

Może sobie myślisz, że mamy tylko "Błyskawicę"? E! Bracie! Mamy większą Flotę, jak przed tem—w Kraju. I co raz większą!!

Dobrze jest nam tu—na tych ukochanych okrętach. W naszej małej Polsce na wodach angielskich. . . . Wiemy i jesteśmy pewni, że pomogą one wywalczyć Polskę wielokrotnie większą.

—Momencik. Przepraszam na chwilę, bo właśnie alarm przeciwlotniczy. Lecę do mojego "Bofors'a." Daj Boże, żeby te Heinkle czy inne diabły przyleciały. Frajda, jak cholera!

* * *

E! Zły trochę jestem. Był, rozumiesz, jeden, ale bardzo wysoko. Latał dwie minuty i go zaraz "Spitfire'y" strąciły. Tyle pociechy, że widok był ładny. W ogóle, Bracie, te "Spitfire'y" i inne "Hurrican'y" to nieuczciwa konkurencja. A już całkiem Cię, Staszku, beznadziejna nuda ogarnia, "handra" i zazdrość gniecie, gdy lecą polscy piloci. Ani jednego—na pocieszenie choćby, honorowego—nie zostawią.

I co najgorsze, że co raz więcej tych "ptaszków." Strzelać chyba niedługo zapomnimy. Wszyscy tu chłopcy potracili humor. Ale nie na długo. Wiadomo—Jurek! Już śpiewa. "Do góry wznieśmy skroń! . . ." Dumna piosenka. Buńczuczna, marynarska. . . . I my jesteśmy dumni. Choćby z naszej, wspaniałej "Błyskawicy" . . . I, że my—to jej załoga. Jesteśmy dumni, że i ona bierze udział w walce o wolność Świata.

Bo trudno, żeby w takiej wojnie nie było Polskiej Bandery!

Bo trudno, żeby Polak siedział gdzieś bezpiecznie, gdy o Polskę bój się toczy!

I wiemy, że tu na "Błyskawicy"—jest jedyne miejsce na świecie gdzieby było nam tak dobrze. Bo tutaj być powinniśmy!! Musimy!

Tylko, że Ciebie jeszcze tu nie ma. Ale wiem, że Ty przyjedziesz, Staszku. Wiem to dobrze. Na pewno. Nawet przyrzekać nie potrzebujesz.

I tak, Bracie, jak wtenczas na Madeirze będzie nam tu dobrze razem. Najlepiej! . . .

Czekam

Twój Gienek.

Eugeniusz Wciślicki
Somewhere in England, 14-4-41.

List żołnierza armii lądowej

Pani Delu, miła moja "chrzestna matko."

W jednym ze swych listów prosiła Pani, żeby Jej napisać, co my tu w tej Szkocji robimy. Piszę.

Otóż dzisiaj w południe po raz pierwszy leżeliśmy w parku na trawie i z prawdziwą rozkoszą grzaliśmy się w promieniach wiosennego słońca. Mieliśmy pierwszy wspaniały dzień wiosny. W oddali łagodnie rysowały się wzgórza, oddzielające nas od zatoki. W głębi parku, przy starym młynie szemrał wodospad. Po polach zuchwale i leniwie przebiegały króliki. . . . Były to na prawdę rozkoszne chwile wytchnienia.

Mówiąc szczerze, nie mamy ich za wiele. Bo przedtem n.p. cztery godziny pod rząd ćwiczyliśmy w polu. Najpierw—"działoczyny," czyli obsługiwanie dział, a potem—"zmniejszoną strzelnicę." Takie artyleryjskie strzelanie "na niby," na którym uczymy się kierowania ogniem baterii. Uczymy się rozbijać czołgi, niszczyć artylerię nieprzyjaciela, ostrzeliwać jego piechotę.

A po przerwie obiadowej, w czasie której rozkoszowaliśmy się wypoczynkiem w słońcu, mieliśmy dalszych kilka godzin ćwiczeń. O, bo my tu w Szkole Podchorążych Artylerii musimy uczyć się bardzo intensywnie, by w ciągu kilku miesięcy opanować kurs, zwykle przerabiany w ciągu roku, a nawet dłużej.

* * *

Jesteśmy w Szkocji już około 10 *miesięcy. Mamy za sobą już wiele dni ciężkich i radosnych, dni zwątpienia i nadziei, dni upadku ducha—i dumy. Przyjechaliśmy tu pod wrażeniem klęski Francji, która wydawała się nam—końcem świata. Końcem—naszego świata. Mężna postawa całego brytyjskiego społeczeństwa i jego twarda wola doprowadzenia wojny do zwycięskiego końca, oraz serdeczność, z jaką przyjęto nas w Szkocji—szybko przywróciły do zupełnej równowagi nawet najbardziej nerwowych spośród nas. Z tych pierwszych dni, pełnych rozterki, pozostały nam dziś już tylko wspomnienia i piosenka "Cóż nam zostało w szkockie, deszczowe dnie?"*

Przeleciał też szybko i następny okres—kiedy to z trudem przedzieraliśmy się przez gąszcze angielskiego języka. Wynaleźliśmy doskonałą metodę, którą nasi gospodarze nazwali "with dictionary in left, and a Scottish girl in right hand." "Scottish girls'y" *to już się przy nas pozostały. Ale dykcjonarze dawno odłożyliśmy na bok, jako rzecz niemal niepotrzebną.*

Porzuciliśmy też jeszcze na jesieni nasze obozy w głębi kraju, by przenieść się na wybrzeże i objąć obronę jednego z jego odcinków. Jechaliśmy z nadzieją, że teraz—zacznie się coś dziać. Ale potym przyszły dni zupełnego spokoju, dni wypełnione wprawdzie solidną pracą i uczciwym czuwaniem, ale wyprane bez reszty z jakiejkolwiek emocji. Nasi koledzy, polscy lotnicy i marynarze, tocząc boje przy boku najznakomitszych marynarzy i lotników świata—porastali w sławę. Myśmy żyli w blasku chwały polskiego września, Warszawy i Helu, Narviku i czerwcowych walk we Francji. I nic nie mogliśmy do tych wawrzynów dorzucić. Bo na naszym odcinku panuje—spokój.

Podczas długich godzin monotonnej, codziennej pracy i czuwania na różnych posterunkach, kiedy nic się nie działo, myśli nasze biegły za morze, nad którym staliśmy, za morze do kraju, gdzie o głodzie, wśród poniewierki i katuszy trwała Polska w niezłomnym oporze wobec najeźdźcy. I kiedy nieraz w chwilach goryczy cisnęły się na usta słowa skargi—zamierały one natychmiast na myśl o cierpieniach tych, co bez munduru i broni toczą walkę, wówczas, gdy my wciąż jeszcze czekamy na swoją godzinę.

Wysoką mamy ambicję—być godnymi ich imienia.

* * *

Wśród takich to uczuć, gdzieś, w zimie doszliśmy do tego okresu, naszej pracy, który trwa do dziś. W ramach, na jakie pozwala pogotowie, w którym staliśmy na wybrzeżu, rozpoczęło się masowe szkolenie oficerów, podoficerów, specjalistów. W pewnym momencie w jednym z miast szkockich więcej było polskich podchorążówek, niż kiedykolwiek w jakimkolwiek bądź z miast polskich.

Powołanie do życia tych szkół było jednym z aktów głębokiej wiary w przyszłość. Każdy dzień naszej pracy,—a zaczyna się o godzinie 6½ *rano i kończy o godzinie* 11 *wieczór—jest dniem pracy dla przyszłości, dla potrzeb—przyszłej armii polskiej, która wchłonie setki tysięcy i miliony Polaków, żądnych walki, zemsty, zwycięstwa.*

Bądźmy szczerzy. Zanim zdołamy gdziekolwiek indziej przystąpić do tworzenia wielkiej armii polskiej, wzrok nasz zwraca się w waszą stronę.

Słuchaliśmy dziś przez radio przemówienia dwuch amerykańskich mężów stanu—Cordell Hulla i Knoxa. Obydwaj stwierdzili, że Stany Zjednoczone są już w wojnie. Wprawdzie się jeszcze nigdzie żołnierze "Wuja Sama" nie biją, ale cała potęga St. Zjednoczonych rzucona jest na jedną z szal. Na szalę wolności i godności człowieka i ludów. A że wojna, która toczy się dziś, jest wojną totalną, wojną, w której bierze udział w każdej chwili każdy człowiek—a więc i Pani, panno Delu i wszystkie członkinie chórów, którymi Pani dyryguje—wplątane jesteście w wir tej walki.

Wzrok nasz ku wam się kieruje, jako ku tej cząstce polskiego narodu, która nie tylko zachowała wolność i może pracować dla sprawy wolności, ale która dzięki temu, że los ją rzucił do St. Zjednoczonych—ma możność wywierania wpływu na losy wojny, wielokrotnie większego od Polaków, znajdujących się w innych krajach.

Walka się toczy o oblicze świata, o smak i sens życia, o to, czy w ogóle warto będzie żyć na świecie. Rozpędzona fala zła nie zatrzyma się na żadnej granicy, ani żadnym oceanie, nie bronionym dostatecznie mocno. Zmiecie z powierzchni globu wasze szczęście, spokój, dobrobyt, tak jak zmiotła z całej prawie Europy, jeśli nie dacie pełnego wysiłku dla obrony świata przed sprzysiężonymi mocami zła.

Pani Delu, chóry, którymi Pani dyryguje muszą śpiewać na bardzo wysoką nutę potriotyzmu, by tych, co pracują w fabrykach sprzętu wojennego i amunicji pobudzić do jak największego wysiłku, a tych co powinni byliby iść do wojska polskiego—by zachęcić do przyśpieszenia decyzji i pchnąć w szeregi, do walki.

Narodom, walczącym wraz z W. Brytanią potrzebne są statki, samoloty, czołgi, armaty, karabiny maszynowe. Dostawy amerykańskie w znacznym stopniu zadecydują o wyniku naszej walki. Ale nam Polakom potrzebna jest poza tym liczna armia, której kraj wystawić nie może. Kiedy o tym myślimy—oczy nasze zwracają się za ocean, ku amerykańskim i kanadyjskim Polakom, którzy mogą obecnie odegrać tak wielką rolę w walce o wolność Polski, będącej równocześnie walką o wolne życie także na zachodniej półkuli. Kiedy pracujemy tu twardo, szkoląc się na oficerów i podoficerów, myślimy o chwili, w której będziemy mogli naszymi umiejętnościami wojskowymi służyć rodakom śpieszącym do szeregów z za oceanu.

W tej walce, która zadecyduje na długo o losach świata, mamy wielkich sojuszników w postaci W. Brytanii i St. Zjednoczonych, i wszystkich narodów, które chwilowo uległy, nie rezygnując z wolności, mamy wielkich przywódców w osobach Churchilla i Roosevelta, mamy za sobą wielkiego sprzymierzeńca, jakim jest słuszność naszej świętej sprawy.

I dlatego, choć czasem czarne myśli opadają człowieka, gdy miesiące mijają bez wiadomości od najbliższych z kraju, a dzień każdy przynosi twarde wieści z placu boju—przecie niezachwianie wierzymy w "nasze na końcu zwycięstwo" i pracujemy dla niego.

Pani musi też pracować dla zwycięstwa. I wy wszyscy za oceanem. Wszyscy jesteście żołnierzami jednej sprawy. Żołnierzami, od których postawy zależą losy świata. Od Ameryki zależy tak wiele, a was jest w Ameryce niemało. . . .

. . . Jest już późna noc. Nasz "house" *oddalony o mile od świata—już dawno śpi. Za kilka godzin—dziś wcześniej niż codzień—zerwiemy się, by jechać na poligon nad morzem i odbyć jeszcze jedno ćwiczebne strzelanie z dział. Przygotowujemy się, by odeprzeć ewentualny najazd.*

Trzeba złapać jeszcze trochę snu. Muszę więc kończyć.

Proszę do nas pisać często. Pragniemy bardzo czuć Was przy sobie, wiedzieć, że stoicie w jednym z nami szeregu. W szeregu obrońców naszego wspólnego świata i naszej wspólnej ojczyzny przed triumfującemi chwilowo siłami zła.

Ślę Pani i wszystkim Polakom za oceanem serdeczne pozdrowienia.

Big George

Nie możemy podać nazwiska żołnierza-autora tego listu, ponieważ ma on rodzinę w Polsce. Osoba, do której zwraca się za pośrednictwem "Polski Walczącej"—rzeczywista i czynna wśród Polonii—zna jego nazwisko.

W chwili, kiedy piszemy te słowa armia grecka i brytyjska broni się jeszcze na północ od Aten. Jest to 23 dzień walk w Grecji, toczonych z niesłychaną zaciętością z obu stron. Komunikaty brytyjskiej Kwatery Głównej w Kairze podkreślają bardzo poważne straty niemieckie. Dotychczas padło tam do 100.000 Niemców, a 400.000 jest rannych. Jeżeli się doliczy około 75.000 zabitych w Jugosławii—to dojdziemy do przekonania, że zdobycie Bałkanów nie przyszło tak łatwo.

Ponad wszelką pochwałę zdała egzamin bohaterstwa Grecja. Według doniesień niemieckich, armia w Epirze, która prosiła o zawieszenie broni—nie była już zdolna do walki, chociażby z tego powodu, że nie posiadała zupełnie amunicji. Jedna dywizja, nieco lepiej zaopatrzona w sprzęt wojskowy-zdołała się przebić do Aten. Inne odpierały ostatnie ataki *walcząc na białą broń*. Były to wojska, które przez sześć miesięcy zwyciężały świetnie wyekwipowaną armię Mussoliniego. Atak niemiecki odciął je od podstawy operacyjnej *a przede wszystkim od dowozu benzyny i niezbędnej amunicji*. Ale i w tych okropnych warunkach, spełnili Grecy swój obowiązek do końca.

Armie sprzymierzonych wycofują się z Bałkanów. Rząd grecki przeniósł swą siedzibę na Kretę, skąd zapowiada dalszą walkę, aż do końca. Nie jest wykluczone, że również i armie sojusznicze będą musiały opuścić Attykę. Oczywiście, że jest to odwrót, oczywiście, że odwrotem nie wygrywa się wojen. Ale z drugiej strony nie wolno zapominać, że dzięki bohaterstwu Greków i Jugosłowian, te bazy, które Niemcy i Włosi spodziewali się zająć w listopadzie — *zostaną zajęte dopiero w maju, po ciężkich walkach, i w stanie nie bardzo nadającym się do użytku. Wielka*

SPIS RZECZY

Przegląd polityczny

Brytania i jej sprzymierzeńcy zyskali pół roku czasu, który jest bardzo cennym atutem w planach angielskich.

Po zdobyciu Grecji, będą Niemcy kontynuowali swój dalszy pochód w kierunku wschodnim — i jest bardzo możliwe, że następnym przedmiotem ich ataku będzie Turcja. A sprawy tureckie łączą się najściślej z najważniejszymi zagadnieniami polityki rosyjskiej.

O Stalinie i towarzyszach na Kremlu pisze się często w prasie brytyjskiej lub amerykańskiej, jako o "zagadce" lub "sfinksie." Powiedzenie to utarło się jeszcze przed wojną, ale pozbawione jest jakiegokolwiek realnego podkładu. Polityka Moskwy nie jest bynajmniej "tajemnicza." Kierownicy komunistycznej Rosji wykonują po prostu testament Lenina, *dążąc do jak najdłuższego trzymania się zdala od pożaru wojny*. Polityka ta kieruje się dwoma przesłankami:

1°) Rosja jest państwem olbrzymim, ale w gruncie rzeczy słabym. Wojna byłaby początkiem końca wielkiego imperium, a w każdym razie poczatkiem końca reżimu sowieckiego.

2.) Kierownicy Trzeciej Międzynarodówki oddają się jeszcze ciągle złudzeniu, iż, nie wchodząc do walki, posiadając nietknięte rezerwy ludzkie i materiałowe—będą języczkiem u wagi na przyszłej konferencji pokojowej.

Te założenia nie były pozbawione sensu, jak długo istniały pewne podobieństwa między ostatnią wojną światową w 1914-1918 roku a obecnymi zmaganiami. Dzisiaj jednak tych podobieństw już nie ma. Przeciwnie, w Moskwie powinni sobie już zdać sprawę z faktu, że wcześniej czy później *musi dojść do ostatecznej rozgrywki między Niemcami a Rosją o panowanie w Europie*. Wypływa to nie tylko ze wszystkich, dawniejszych oświadczeń Hitlera. Wypływa to również z faktu, że Trzecia Rzesza "porządkując" Europę, to znaczy starając się o całkowitą hegemonię, zarówno polityczną, jak i strategiczną oraz *ideową nie zniosłaby na kontynencie a może w ogóle na świecie innego ustroju, aniżeli nazistowsko-faszystowski*. I dlatego, nie wierzymy w jakąkolwiek współpracę niemiecko-rosyjską na dłuższą metę. Polityka Mołotowa, polegająca na "przechytrzaniu" całego świata—pomści się prędzej czy później.

Jakie stanowisko zajmie Kremlin wobec spodziewanej presji niemieckiej na Turcję? Jeżeli Stalin jest naprawdę tak słaby, że nie posiada najmniejszych szans oporu—to nie jest wykluczone, iż jeszcze raz powtórzy się historia z września 1939 roku, znaczy spółki z bardzo, ale to bardzo ograniczoną poręką. Jeżeli natomiast w Moskwie dojdą do przekonania, że lepiej stawiać wszystko na jedną kartę dzisiaj, aniżeli znaleść się kiedyś sam na sam z Trzecią Rzeszą—to możemy być świadkami interesujących wypadków zarówno na Bliskim Wschodzie, jak i we wschodniej Europie.

W każdym razie faktem jest, *że Rosja do paktu "osi" nie przystąpiła*, i jak piszą Niemcy, "straciła ostatnią okazję wspólnej pracy, która otwierała takie szerokie horyzonty przed Moskwą." Bardzo wiele mówiące ostrzeżenie. I bardzo ciekawe są te twierdzenia przedwojenne fachowej prasy niemieckiej, że teren rosyjski nadaje się jak żaden inny właśnie do zastosowania wszystkich metod wojny błyskawicznej. Twierdzenia te przypomina się dzisiaj w Berlinie, robiąc pośrednie aluzje do "ogromnych, płaskich jak stół terenów, które, jak to wykazała praktyka, są nie do obronienia." Polityka rosyjska jest w tej chwili *kombinacją krótkofalową*. Nastroje w Moskwie są zmienne, ale poczucie niebezpieczeństwa całkowitego otoczenia przez "najlepszego przyjaciela," jakim od sierpnia 1939 stał się dla Stalin Hitler—rośnie z każdym dniem.

Groźne również chmury gromadzą się nad Trzecią Rzeszą od strony zachodniej. Od lipca 1940 roku wojna obecna toczy się w obronie nie tylko W. Brytanii, ale także Ameryki. Jeżeli runie zapora brytyjska na Atlantyku, to Stany Zjednoczone zostaną zagrożone z dwóch stron, od Oceanu Atlantyckiego i od Pacyfiku, od Nowego Yorku aż po San Francisco. O żadnej "neutralności" nie ma tu mowy. Anglia musi otrzymać najwydatniejszą pomoc Ameryki, aby zwyciężyć, ale Ameryka musi również zdać sobie sprawę, *że każde niepowodzenie Anglii, jest zarazem klęską Stanów Zjednoczonych*. Wie o tym Roosevelt i co raz to bardziej przekonanie o konieczności czynnego udziału w wojnie utwierdza się w społeczeństwie amerykańskim.

Pogłoski o usadowieniu się Niemiec w Grendlandii są najlepszym wskaźnikiem przyszłej polityki Rzeszy. Stany Zjednoczone zagrożone są nie tylko przez wrogą demokracji ideę, ale zagrożone są również pod względem strategicznym i politycznym. I bardzo jest możliwe, że w Waszyngtonie dojdą do przekonania, że sama pomoc gospodarcza, chociażby najbardziej intensywna, nie wystarczy. *Interwencja zbrojna Ameryki, może być bliższa, aniżeli się to wydaje.*

Roosevelt wyraził się, że losy wojny będą się decydowały nie na Morzu Śródziemnym, ale na Atlantyku. Bitwa o przyszłość świata—*jest walką o Atlantyk*. Wszystkie, chociażby największe sukcesy niemieckie, będą połowiczne, jeżeli Trzeciej Rzeszy grozić będzi co noc, a potym co dzień, olbrzymia i ciągle rosnąca przewaga lotnictwa brytyjskiego. I dlatego Hitler musi rozegrać partię nad Kanałem, na wybrzeżach Szkocji i wschodniej Anglii.

Churchill wspomina a każdej swej mowie o groźbie inwazji, która co raz to bardziej staje się nie groźbą, ale pewnością. Führer jest człowiekiem jednej karty—i kartę tę, jakkolwiek bardzo ryzykowną, będzie się starał wygrać.

tk

Z prasy żołnierskiej

Radują się serca Polaków na każdą wiadomość, że lotnik polski strącił samolot niemiecki, że celna bomba zrzucona ręką Polaka spadła na kraj nieprzyjacielski, że torpeda marynarza polskiego ugodziła statek niemiecki. Jest to słuszna zapłata—za Polskę. Duch odwetu ożywia żołnierza polskiego.

"*Naród niemiecki—piszą lotnicze "Wiadomości ze Świata"—swoimi czynami nie tylko zasłużył sobie na wzajemność brutalizmu, ale wręcz swoim postępowaniem, domaga się takiego, a nie innego następstwa taktyki zbrodni.*

"*Jeśli świat ma być światem, jeśli sprawiedliwość dziejowa nie może być czczym hasłem, obowiązkiem naszym jest, ze stokrotną nawiązką odpłacić Niemcom i niemieckiemu krajowi za to, co się dziś dzieje, co się w dniach kampanii wrześniowej działo na ziemiach naszej nieszczęsnej Ojczyzny.*

Chciałoby się, aby słowa te na falach eteru popłynęły do Polski. Aby powiedziały w Polsce tym, którzy walczą tam, zdawało by się, tak beznadziejnie, że armia polska na obczyźnie o ich bohaterstwie wie, że ofiara ich nie idzie na marne.

* * *

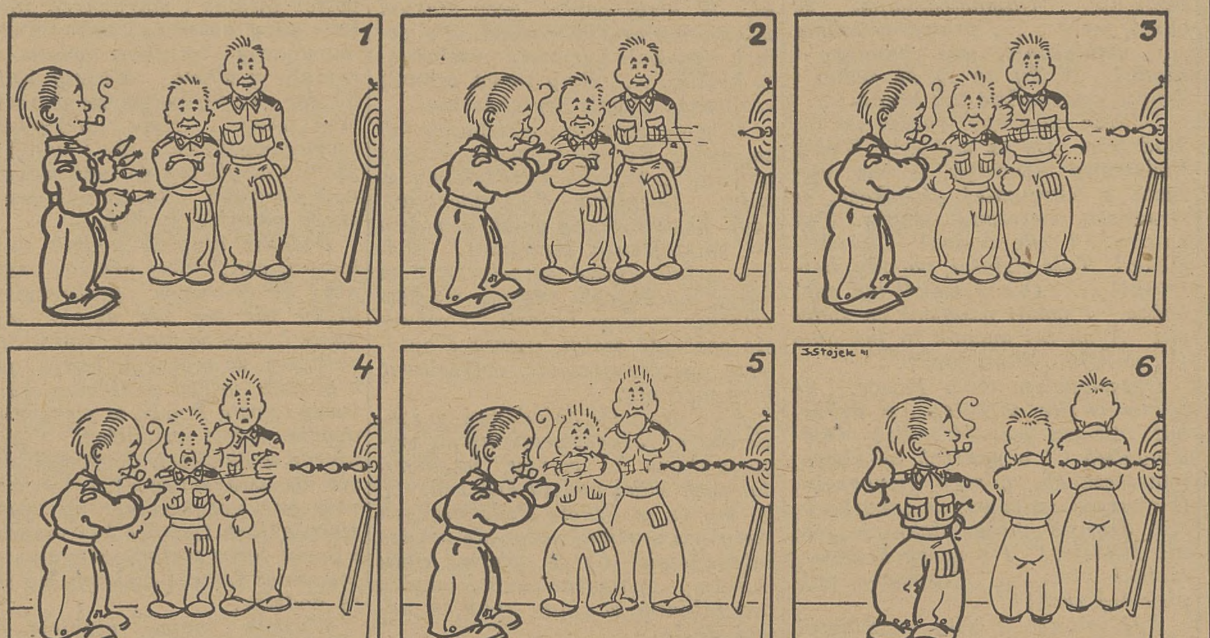
To samo plsmo zamieszcza list pewnej Angielki do lotnika polskiego, który stał się już—niedoręczalny.

"*Dzisiejszego rana modliłam się do Boga prosząc Go o to, by utracona wasza stolica została odbudowana. Modliłam się i za Pana, za jego ukochaną małżonkę, która została zabita i za jedno z Pańskich drogich dzieci. Będę kontynuowała moją modlitwę za Pana i za jego kochane dziecko, które zostało sierotą, aż do dnia odniesienia zwycięstwa.*"

Kiedyś, gdy zakończy się obecna wojna, w Polsce napisana zostanie historia przyjaźni polsko-brytyjskiej. Opisane zostaną wszystkie oficjalne wydarzenia i znane z opisów w gazetach objawy gościnności, trudno jednak będzie oddać tę przyjaźń, i serdeczność, z którymi spotykał się żołnierz polski na każdym kroku życia codziennego w W. Brytanii. Jeden z przejawów tych uczuć przyjaznych, codziennych dobrze ilustruje przytoczony list do lotnika.

W. L.

Feluś Czarnobrygadzista
Jako w strzałkach rekordzista



rysował Józef Stojek

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesiecznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—1 cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam —sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.